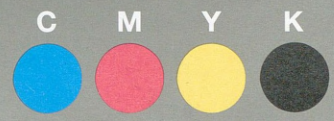


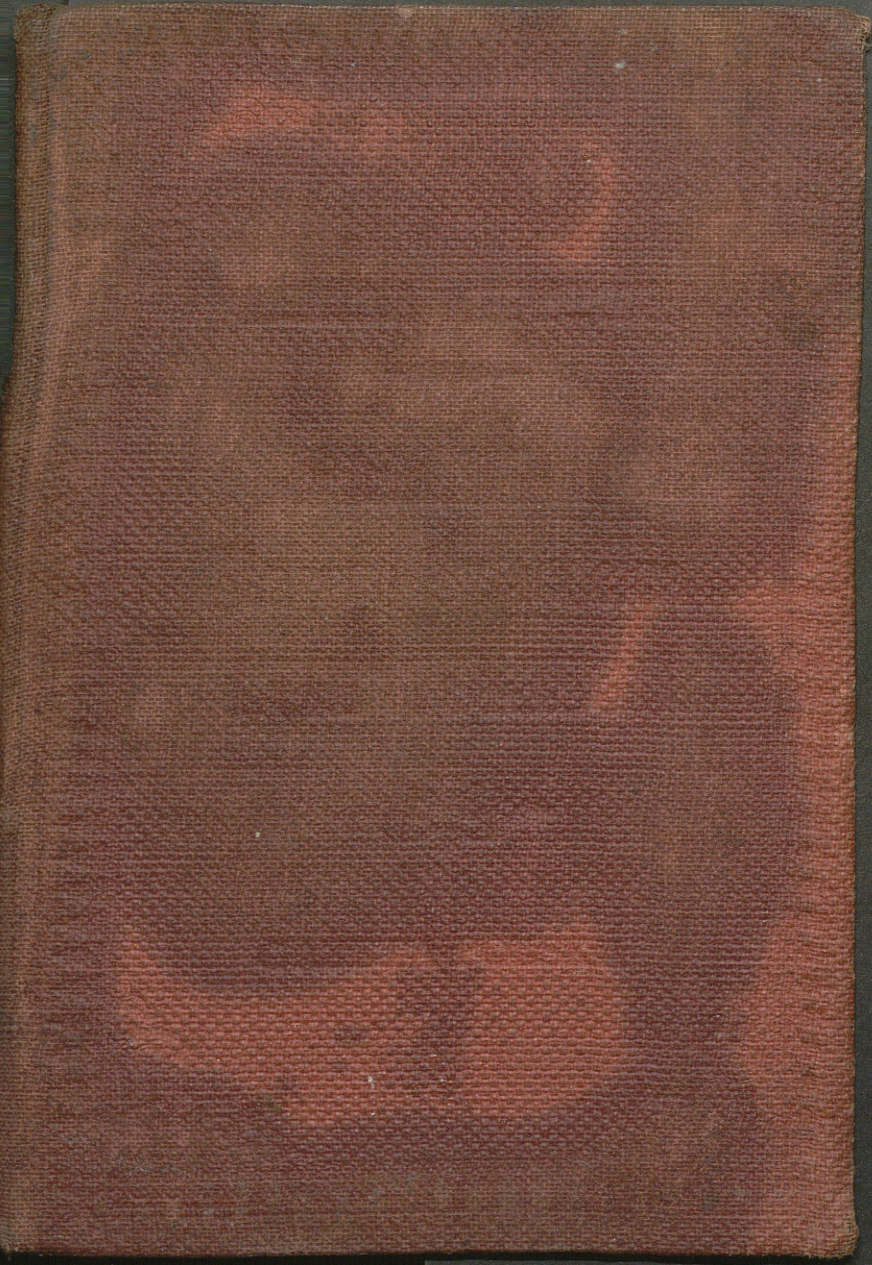
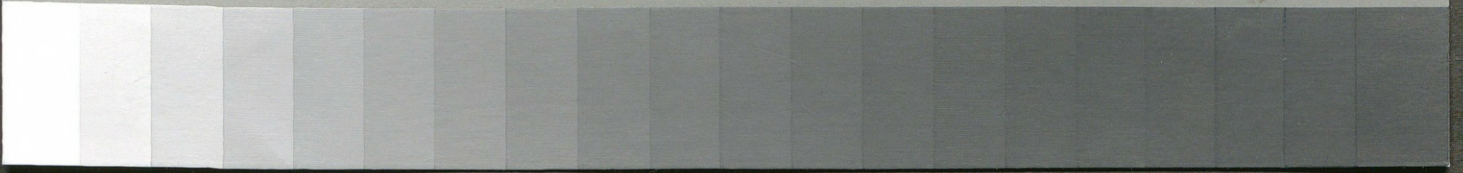


Grey Scale #13



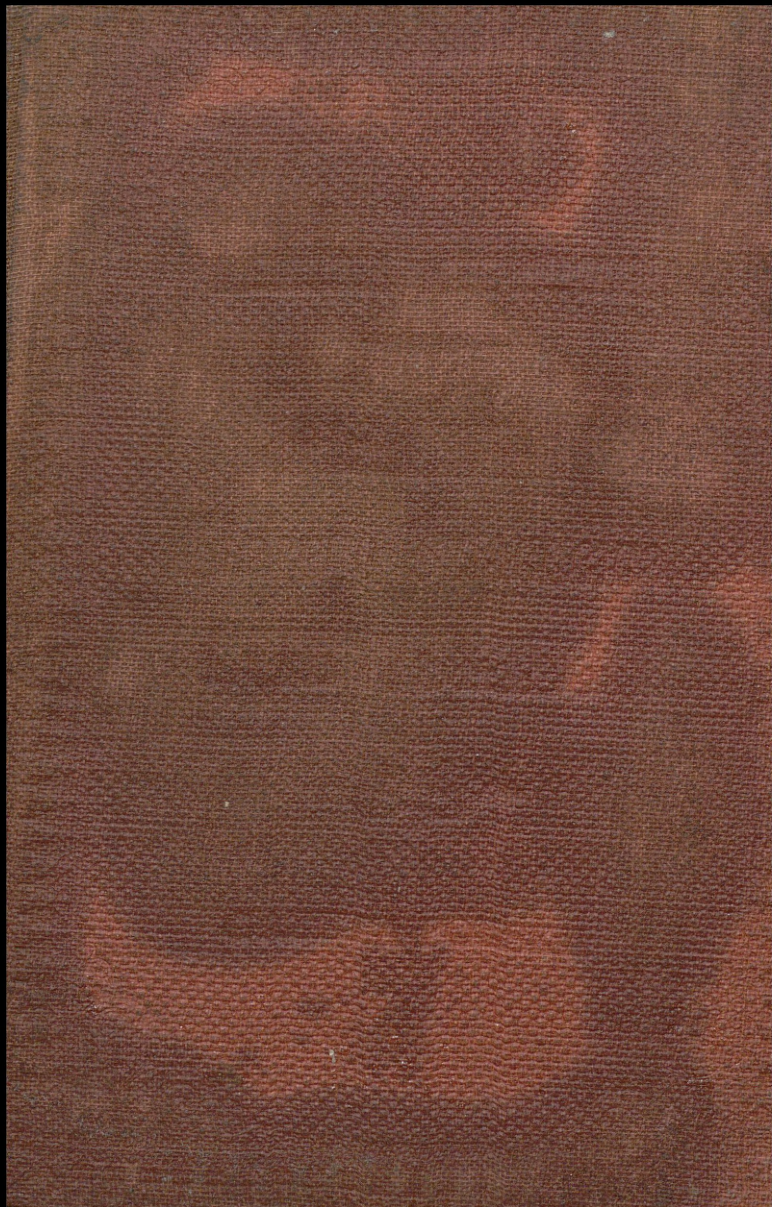
DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

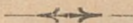
DANES-PICTA.COM



„Gazeta Polska“.

Tom 25 (Og. zb. 90.)

Henryk Rzewuski.



PAMIĄTKI

STAREGO SZLACHCICA LITEWSKIEGO

Tom III.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“.

Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

—
1900.

884-3: 8(09)

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Апрѣля 1900 года.

9336 / 1




— Moi panowie bracia, a raczej synowie, bo już chwala Panu Bogu! nie rok i nie dwa, jak ósmy krzyżyk zapisał się na mojej metryce, a pięćdziesiąt ośm lat się skończyło, jak osobiście służyć w kawaleryi narodowej, nie licząc tych kilku, co będąc zapisanym, w palcaty wojowałem ze studentami i z hajdamakami się ocierało, i ze Szwedami się obwączało pod Warką i Kaliszem, i siedmioletniej wojny coś się zaczęło, i w czasie ostatniego bezkrólewia za piecem się nie siedziało, i z księciem wojewodą Wileńskim po Wołoszczyźnie się tułało; a taki wystarczyło i lat i siły, aby tu wam służyć. A niewielka była sztuka śmierci mnie znaleźć. Jakoż ukąsiła mnie ona kilka razy, ale jeszcze nie zjadła, jak widzicie, i *Deus me custodiat!* tuszę, że jeszcze niejednego tam wyprawię, dokąd i samemu wkrótce pójść trzeba. Otóż panowie moi, rok piąty temu, że pokój był po całej Rzeczypospolitej; stałem sobie spokojnie w Krozach z chorągwią, której dowodziłem, jakby dziad do roboty niezdatny. To człowiek uczył towarzystwo iść gęsiego, lub ocierać się o szachownicę; to ich sprawy z żydami sądził; to na delacie czopowe egzekwował: aż tęskno było, że się próżnuje, cóż robić? Aż tu przywołuje mnie JW. Giedroją, strażnik Litewski, od śmierci JW. hetmana mój rotmistrz, i mówi mi te słowa: — Panie Ambroży, nie można wie-

dzieć co będzie: *si vis pacem, para bellum*: jabyma rad moję chorągiew powiększyć, i na to mam przypowiedni list hetmana; ruszaj więc waść na Ukrainę, i kilkadziesiąt koni ztamtąd przyprowadź. — Choć dziś JW. panie: człowiek na tym towarze zęby zjadł. — Odliczył mnie JW. strażnik sześćset czerwonych złotych obrączkowych, jeden w drugiego, które w trzos własną ręką zaszywszy, koszulę nim opasałem; a wziąwszy dwóch z towarzystwa, i tyluż luzaków, ale których znałem jak mój sygnet herbowy, co go na małym palcu noszę, że byli dziarscy chłopcy, nie czekając nazajutrz puściłem się w podróż, zdawszy moją chorągiew na pana chorążego, Mikołaja Staniewicza, i doszedłem szczęśliwie do Cudnowa, dóbr dawniej do ordynacyi ostrogskiej należących, a teraz dziedzicznych JO. księcia Marcina Lubomirskiego, który z nami służy. Tam się poznałem i ściśle zaprzyjaźniłem z panem Czajkowskim, łowczym Kijowskim, a gubernatorem hrabstwa cudnowskiego. To był zacny i dobrze myślący obywatel; więcej z przyjaźni, niż z potrzeby księciu służył, bo jedną i drugą miał wioskę dziedziczną, i nieco grosza po ludziach. Pan łowczy nie tylko, że mi ofiarował całą pomoc do kupna koni, ale wszystkich kozaków dworskich oddał na moje zawołanie, i pozwolił mi w zamku założyć kwaterę, i tam zbierać konie, póki z niem

nie wyruszę na Litwę. Jakoż to tu, to tam po sąsiadach, w pierwszych tygodniach uzbierałem ze dwadzieścia koni, ale koni całą gębą. Wtedy to mi się dostał ten mój siwosz, coście go wszyscy znali, i co mi pięć lat wiernie służył, a który, kiedy padł pod Opatowcem, ledwom nie płakał, jak po synu rodzonym. I sobie czekałem zdrów w Cudnowie, na kiermasz berdyczowski, aby i resztę dokupić. Aż tu pan Puławski, starosta Warecki, podnosi konfederacyę w Barze, i zaczynają biegać po kraju uniwersały, powołujące szlachtę do pospolitego ruszenia: a pan łowczy w obawie, by mi chudoby nie zabrali, radzi wyprawić ludzi i konie w puszcę cudnowską. Ja mu na to: — Dobra i łaskawa rada waćpana dobrodzieja, ale na sercu mi cięży rozkaz marszałka: darmo, trzeba iść gdzie każą. — A on mnie: — Niech pan porucznik konie zbiera w lesie, gdzie bezpiecznie; a ja mu co będę mógł szlachty dostarczę. Lepiej w kilkadziesiąt koni służyć marszałkowi, niż z dwoma towarzyszami przed nim się pokazać, choćby się cudem do niego przedarł z tak małą siłą.

Nie miałem nic do powiedzenia, tylko podziękować mu za łaskę; a on na niej nie przestając, sam chciał mnie przeprowadzić do szyjeckiej Budy, gdzie mi naznaczył kwaterę. Naprzód tam moje



konie wyprawił z dworskimi kozakami, a nazajutrz samiśmy wyruszyli konno: nas dwóch, syn pana łowczego, młody i piękny kawaler, i kilku dworskich. Zwyczajnie gawędziliśmy z sobą przez drogę. Opowiadał mi pan łowczy, że w puszczy cudnowskiej ma swoje siedlisko zgraja Pawlika, sławnego zbójcy, który jest postrachem szczególnie Żydów, gdyż niejedno miasteczko złupił. Jakoż przed dwoma tygodniami, zapewne dla wywiadów, Gontar, jego namiestnik, z dwoma hultajami, pokazali się na targu cudnowskim z furą półdrabków, niby zwyczajne Pobereźniki. Ale szynkarz jeden, który już raz był w ręku Gontara, i niezawodnie by wisiał, bo już raz miał stryczek na szyi, jeno, że na jego szczęście Pawlik trafem nadszedł i kazał go z duszą puścić obdarłszy do koszuli, poznał go, i zaraz pobiegł dać znać dworowi. Jakem się o tem dowiedział — dodał pan łowczy — ruszam czem prędzej na targ z kozakami: udało się mi złapać dwóch hultajów, ale Gontar jak w wodę wpadł: całe miasteczko do góry nogami przewróciłem, ani sposobu było go znaleźć. Mając przecię podkomendnych, kazałem ich w dyby zabić: cały dzień wały mi kopią około zamku, a w furdydze nocują. — Jam okazał podziwienie, że do grodu ich nie odsyła, ale pan łowczy na to: — My nie w Litwie: u nas hajdamaczyzna ciągła. Gdybym ich do gro-

du odesłał, krótkaby była sprawa i tamby ich powiesili nimby słońce zaszło, a dopieroby mnie była bieda z Pawlikiem; jednej nocybym nie przespał spokojnie. Z naszymi hajdamakami ani nadto dobrze, ani nadto źle być nie można. Wiedzą oni, że ich dwóch w mojem ręku, z tego mi zysk; bo jakby szkodę zrobili, bez grodu kazałbym ich wbić na pal: radzi nieradzi muszą być spokojni. — A ja mu: — A to piękną mieć będę kwaterę w lesie! z deszczu pod rynnę: ja kryję konie przed nieprzyjacielem, a złodziej mi je zabierze. — Pan porucznik nie znasz ich obyczajów. W szyjeckiej Budzie będzie bezpieczniej, niż w Cudnowie. Hajdamaka ma wilczą naturę; nigdy szkody nie robi blisko swojego gniazda. Mamy tam hutę i karcznię, przy której co niedziela pełno hajdamaków; piją z fabrykantami, nawet dzieci ich do chrztu trzymają: święta między nimi komitywa, ani hajdamaka fabrykanta, ani fabrykant hajdamaki nie zdradzi. W kasie bywa po kilka tysięcy złotych, a daj Boże, żeby ze strony kasyera i rachmistrza nie było więcej szkody, niż od hajdamaków. Bywa często Pawlik u naszego leśniczego, i ja go tam razu jednego spotkałem, i mówiłem z nim, udając, że nie wiem co on za jeden, i leśniczy mi szepnął, kto on taki. Nie ma co mówić, sprytny chłop, a barczysty, że nie życzyłbym trzem jego spotkać, nie dali-

by mu rady. I pan porucznik nieraz może go widzieć będziesz.

Tak rozmawiając, szliśmy dalej w las ścieżkami, po których najmniejsza furaby nie przeszła. Chociaż konno, musieliśmy iść gęsiego za przewodnikami, aby co prędzej do szyjeckiej Budy się dostać. W tem słyszyć się dały gwizdania. To już mi nic dobrego nie zwiastowało, aż tu zaraz dwóch hultajów, wyszedłszy z gęstwiny, zbliża się do nas i krzyczy: — Stój! — Każdy z nich trzymał rusznicę w rękę. Pan łowczyc koło mnie będący dobył pistoletu z olstry; ale ja do niego: — Schowaj mi zaraz waćpan pistolet. W lesie wara z ognistą bronią, żeby jak wystrzelisz, każde drzewo za to nie dało ognia; abo widać z kim sprawa? A jeden z nich, którego poznał pan łowczyc, że to był sam Pawlik, przystąpiwszy do mnie: — Widno, że pan bywalec: dalibyście sobie ducha, gdyby panicz był wystrzelił. — Wtem gwizdnął przeraźliwie, i więcej może stu rozbójników wysypało się z prawej i lewej strony. Pewnie jedna noga z naszychby nie uszła, gdybym łowczycowi był dopuścił wystrzelić.

Zbliżył się Pawlik do pana łowczego: — A co, panie? czy mam pana zabić w dyby, jak pan moich

ludzi?—Mój kochany—odpowiedział lowczy—ty wiesz że Cudnow nie mój, i że ja pańskiego dobra pilnować muszę. A kiedy który hultaj na rynku się pokaże, i o nim mnie dadzą wiedzieć, że jeszcze przy ludziach, coby to powiedzieli, gdybym ich nie ścigał? Ty nie do mnie miej żal, ale do mojego pana co w instrumencie wyraźnie zalecił, abym hajdamaczyznę wypleniał; rozpraw się o to z nim w Warszawie, lub gdzie go znajdziesz, a mnie daj czysty pokój, a nawet podziękuj mi, że ciebie w lesie nie zagabam. Niedawno pan regimentarz rekwirował, bym z całego poddaństwa zrobił na was obławę; a ja to tem, to owem go zbywam, byście pokój mieli: ty umowy nie dotrzymujesz z leśniczym: ziemięś jadł, przysięgając, że w lesie nas zaczepiać nie będziesz, my za to na was przez szpary patrzymy, a teraz na mnie napadasz. Myślałem, żeś uczciwy hajdamaka, a jak widzę, z ciebie zupełne ładaco. — Albo ja nie szanował wielmożnego pana i jego ekonomii? Onegdaj jeszcze spotkałem pisarza jadącego z Budy do Cudnowa, i mówiłem z nim po Bożemu, niech sam powie: jeszcze go sprosił, aby mnie skąłek przywiózł, anim mu macał szarawarów, chociaż w nich tysiąc złotych było. A wielmożny pan moich ludzi w dyby pozabijał. Czy oni szkodę jaką robili, czy nie chcieli bazarnego opłacać? Cóż to, czy już nam nie wolno na targu półdrabek przedawać? Teraz moje na wierzchu: oddam za swoje. — I cóż na

tem uzyskasz, jak mnie ukrzywdzisz? Niechno któremu z nas włos aby jeden spadnie z głowy, a ekonom Cudnowski o tem się dowie, na pal każe wbić obu dwóch twoich podkomendnych, a potem jak z kozaków i wszystkich włościan cudnowskich wyprawi oblawę do puszczy, nie wiem czy na tem zarobicie. Przyznaj, że wam nieźle się dzieje w Hałacie; lepiej nas puść z Bogiem i licz na moję wdzięczność. — Ale! niech tylko poprobuje ekonom moich parobków zamordować, ja jemu nazajutrz żonę i dzieci pozarzynam, a Cudnow z czterech stron podpale, że ściany na budę nie zostanie. — Ale, mój Pawliku, gadajmy po ludzku. Czy ty zemstą swoją, choćby ci się ona udała, swoich wskrzesisz, jak ich na pal wsadzą? Lepiej puść nas z Panem Bogiem, a ja twoich ludzi wypuścić każę. — Ja wielmożnemu panu już nie wierzę. Wszakżeśmy obiecywali nie dokuczać sobie. Od nas ekonomia cudnowska krzywdy nie poniosła: a nawet pani Sosnowskiej, possesorce Turczynówki, na jedno słówko pańskie konie zabrane oddałem; a wielmożny pan moich niewinnych ludzi pozabierał, i dwie niedziele w dybach trzymasz, jakby jakich szkodników. Teraz wielmożny pan w inną dudkę dmiesz, a jak puszcze was na słowo pańskie, i wielmożny pan do zamku się dostaniesz, zaraz powiesz: Co to? ja temu chamowi mam dotrzymać obietnicy? Albo to szlachcie, żeby ze mną w umowy wchodził? A haki, a kleszcze na zu-

chwałego chłopca. Czy ja was nie znam? — Panie Pawlik, wszak ja wam dobrze życzył: sam przyznaj, czyś mało łask doświadczył odemnie? Czy wam bronię leszczynę palić na proch? czy nie pozwoliłem trzem parobkom ze skarbowemi podwodami iść do Krymu po rybę soloną? czy na Filipówkę nie kazałem wam wydać, na twój znaczek, z magazynu całej kufy gorzałki? Przyznaj, panie Pawliku, że tobie w naszym lesie jak w rajku. — Aha! teraz: panie Pawliku! bo strach ma wielkie oczy: będzie tego dobrego gołemu za pazuchę. Ja wielmożnemu panu krótko powiem, co być może: Niech pan zostawi mi zakład, że moich ludzi odeszle, a ja pana wypuszczę. Rozumie się, że na pamiątkę zostawicie mi, co macie pięniędzy przy sobie!

Miarkujcie, panowie bracia, co tu się działo ze mną, który kilkaset czerwonych złotych miałem przy sobie.

— Kiedyś tak nie wierzący, panie Pawliku — odrzekł pan łowczy — puście mi syna i gościa, a ja u ciebie zostanę jako zakładnik. — Tak nie będzie. Ja wielmożnego pana puszcę, a syna zatrzymam; prędzej wykupi ojciec syna, niż syn ojca: a paniczowi nic złego się nie stanie, że u nas przenocuje. — Panie Pawlik, zmiłuj się waćpan nad moją żoną. Co ci ona

winna, że ją w łyżce wody chcesz topić: jak mnie bez syna obaczy, to jak Bóg na niebie, bez duszy padnie.

— Wielmożny pan znasz to, że mnie łatwo wziąć za serce. Wracajże pan zdrów z synem; ale ja bez zakładu nie zostanę: oto ten gość pański, co paniczowi wypalić nie dopuścił, z nami pójdzie do Hałacy, i tam będzie siedział, póki wola pańska; bo ja go nie wypuszczę, póki ludzi nie obaczę.—Panie Pawliku, nie rób mnie tej krzywdy, żeby mój gość miał narzekać, iż mnie zaufał. Kiedyś tak nieludzki, wolejże mnie i syna zatrzymaj, a jego puszczaj: niech na mnie raczej największe nieszczęście spadnie, niżby mój gość najmniejszej przykrości miał doświadczyć.

Żal mi się zrobiło pocziwego łowczego:—Mości dobrodzieju—ozwałem się—niech pan się o mnie nie troszczy, a z godnym synem i swoim dworem rusza sobie do Cudnowa: ja panu Pawlikowi służę do jego Hałacy. Wdzięczny mu jestem, iż mnie oszacował godnym być zakładem słowa waćpana dobrodzieja, i za dobrą opinię o mnie bardzo mu dziękuję. U niego źle mi nie będzie; wszak my oba żołnierze; ja rzeczypospolitej, on własnej swojej sprawy; jakoś się porozumiemy. A pan łowczy jak mu ludzi odeszle, wiem że tyle pan Pawlik grzeczny, iż mnie tam odprowadzi do szyjeckiej Budy. Niech mnie szanowny

łowczy tu zostawi, a wielmożnej łowczyni nie zapomni moje ukłony złożyć. — Niechże Pan Bóg nagradza szanownemu porucznikowi, żeś się zlitował nad moją babą, a ja zaręczam, że niedługo będziesz się nudził. Tylko bardzo proszę pana Pawlika, aby po ludzku obchodził się z panem porucznikiem. — Wielmożny pan niech o to będzie spokojny: u mnie kto na gościnie, więcej waży niż rodzony ojciec. Ale jeszcze pana porucznika nie mam za gościa, i dlatego, com raz już powiedział, teraz powtarzam: kto co z panów ma pieniędzy przy sobie, proszę natychmiast o nie.

Pan łowczy dobył z szarawarów sakwę, w której było kilkanaście elizawetnych rubli, i te oddał mu, dodając:—Rozbierz mnie do koszuli, kiedy wola; jakem sodalis i halerza nie znajdziesz. — Teraz do waćpana, panie poruczniku! — Pan łowczy przerwał z pośpiechem: — Co waćpan chcesz, panie Pawliku, znaleźć u żołnierza? Jeżeli ma kilka tyńfów, czy i te mu już zabierzesz? Nie godzi się! — Wielmożny pan już za sobą mówił, a panu porucznikowi Pan Bóg dał język—i do mnie obracając się:—Czy pan masz pieniądze?—Mam kilka złotych, i oto są.—A więcej nie masz przy sobie?—Więcej nic.—Niechże pan da na to słowo szlacheckie i żołnierskie, a ja uwierzę — i podał mi rękę.—Otoś mnie zagadł, panie Pawliku. To

darmo; bądź co bądź, a honoru nie splamię—i dobyw-
szy trzosa:—masz go waćpan; ale piekielną wyrzą-
dzisz mi krzywdę! To nie moje pieniądze; a jakie ich
było przeznaczenie! wszystko dyabli porwali. — Wy-
baczaj, panie poruczniku—powiedział Pawlik—każdy
żyje ze swego: szlachcic z pańszczyzny, żołnierz z żoł-
du, żyd z łokcia i kwaterki, a rozbójnik z tego, co mu
Pan Bóg z cudzej kieszeni przyńiesie. Bądź, panie,
weselszej myśli, bo smutek szkody nie wróci. A wiel-
możny pan komisarz niech z Bogiem rusza nazad,
i moich ludzi tu odeszle; tu na tem samem miejscu
będzie czekał mój namiestnik: a jak była między nami
przyjaźń, tak i będzie, póki wielmożny pan znowu nie
zaczepli, bo ja pewnie nie zacznę. Pana porucznika
sam do szyjeckiej Budy odprowadzę.

Tak pan łowczy ze swoim poczem nazad, a ja
z hultajstwem dalej; a takimi gęszczami, że zsiąść
musałem i piechotą ruszać. Pawlik obok mnie,
i wszystko pyta czym nie znużony? powiada, że mnie
nieść każe, i próbuje ze mną w dyskurs się wdać: ale
mi tak było żal mojego trzosa, że stu kuglarzyby
mnie nie rozerwało. Co to, panowie! Cała nadzieja
uzbrojenia ludzi jak kamień w wodę upadła! To też
nakoniec powiedziałem:—Mospanie Pawliku, zostaw
mnie w pokoju. Ja teraz na waszej dyskrecyi, jak
ludzie mówią: wiele złego, dwóch na jednego, a ile

z oka sądzić mogę, was więcej stu: niewielka sztuka przymusić mnie, abym dał w waszą dudkę. Ale jeśli łaska, nie wymagaj, bym się bawił kiedy smutek w sercu. Nie ma godziny, jakem się dowiedział, że wy na świecie jesteście, więc wam nic nie winienem; a przecie zabraliście mi pieniądze, które mi dał mój rotmistrz na kupno koni do chorągwi. Za nie byłbym może kilkudziesiąt jeźdźców uzbierał. Poprze- stańże na tem. Do mnie jeśli łaska, nie gadaj: ja łąć nie umiem, i otwarcie powiem, że z tym tylko się ba- wię, komum rad; a do waćpana mam żal.—Kiedy pan się gniewa, do niego mówić nie będę; ale niech pan o mnie jak chce trzyma, ja pana bardzo szanuję, a jak go na swoim gospodarstwie przyjmę, to pan się prze- konasz, że czart nie taki czarny, jak go malują.

Wszystko to było dobrze; nie mogłem narzekać, aby był nieobyczajnym, bo i z wielką grzecznością do mnie mówił, i tak czystą polszczyzną, jakby rodo- wity szlachcic, ale tyle mi chumoru popsuł, zrabo- wawszy mnie do szczeru, że nie mogłem się oddać, i szedłem zasepiony, jak myśliwy co niedźwiedzia spudłował. Nie bardzo uważałem na szczegóły na- szej podróży, bo i nie było czego uważać. Zwyczajnie bór i las, las i bór, do tego w naszej Litwie człowiek z małego przywyknął. Aż zaszliśmy ponad Te- terow, a taką gęstwiną, że słońca widzieć nie można

było. Dopiero Pawlik, podawszy mi rękę, prowadził mnie wlokąc nogę za nogą, prawdziwie z pieca na łeb, pod skałę, gdzie był otwór tak niski, że ledwo nie czołgając się weszliśmy. Ale ten otwór coraz się rozszerzał; pozapalano łuczywa, i tak rozjaśniało, że było widno, jak wśród dnia na podwórku. Obaczyłem ogromną przestrzeń wykutą w głazie, i wrytą w ziemi: to było siedlisko rozbójników. A co za wygodne siedlisko, chociaż tam nigdy promień słońca nie doszedł! Sale, izby, a spiżarnie, a kuchnie, a składy, a piwnice, zgoła jakby jakie podziemne miasteczko. Cała chałastra wnet się roztasowała. A Pawlik taki gospodarz uprzejmy, a tak mną zajęty, że gdyby nie widok spelunki, i nie leśne facyaty jej mieszkańców, co chwila przypominające, żem u złodziejów na gościnie, mógłbym myśleć, że mnie jaki możny obywatel przyjmuje. Ze to była godzina obiadowa, motłoch się rozsypał, i każdy zajadał ochłapa, na jaki napadł; a pan Pawlik zapytał mnie, czy pozwolę, by ze mną siadł za stołem. Rozumie się, że nie była pora o to z nim się targować. Kazał więc stół na dwie osoby nakryć, i wcale smacznym obiadem na farfurze mnie poczęstował; a dla zakropienia jego, garniec wytrawionego maślaczu był na stole. Po sztuce mięsa Pawlik za zdrowie moje srebrny puchar wina spełnił, a na wiwat, za danym znakiem, kilka samopałów dało ognia, że odgłos po całej speluncie

kilkakrotnie się powtórzył. A że obiad był smaczny, nie dziwnego; bo jakaś dworska z pod Wasilkowa, zakochawszy się w jednym kozaku, i dla niego porzuciwszy męża, z nim do Pawlika przystała. Kozak do rozboju pomagał, a żona Pawlikowi za kucharkę służyła. Wszystko było dobrze i przyzwoicie, ale ta myśl, że człowiek krew i łzy pije, psuła wesołość; powtórę, ciężył na sercu smutek po własnej szkodzie, i więcej jeszcze wstyd, że pomimo naszego statutu i naszych konstytucyi, złodzieje bezkarnie gospodarują i biesiadują na Rusi, pod bokiem prawie urzędu (bo do Żytomierza i dwóch mil nie było), a tu nie ma siły, by takowemu bezprawiu koniec położyć. Ale cóż, kiedy rzeczpospolita ciągle nie miała czasu, ani do odetchnienia, nietylko do urzędu siebie wewnątrznie. Nie temu, co na łożu boleści ze śmiercią pasuje, myśleć, jakby sobie mieszkanie oporządził. I tak, panowie, chociaż w plugawem towarzystwie, jakoś frasunek się topił w lampeczce, że Panie Boże przebacz, gawęda dla mnie zaczęła przybierać powabu.—Panie Pawlik,—powiedziałem mu—kiedy tak się Panu Bogu podobało, że pomimo tego, iżeś mnie ledwo ze skóry nie odarł, przecie u waćpana stołu za swoje zdrowie wzajemnie kielichy spełniamy, pozwól sobie zapytać, czy i ten koń mój gniady, z którego zleźć mu-

siałem, aby jak wąż przedzierać się z waćpanem po zaroślach, a którego tu nie widzę, także *via facti* został waszą własnością?—Pan porucznik go znajdziez w szyjeckiej Budzie; zaraz go tam odesłałem. Że pan pozwoliłeś mi się z sobą, to dla mnie tak wielkie szczęście, iż nie dopuszczę, aby pan ode mnie smutną wynosił pamiątkę. Na sercu mi leżało, że moich ludzi w dyby pozabijano, dlatego pozwoliłem sobie pana komisarza cudnowskiego namęczyć, i teraz pewno nic go tyle nie frasuje, jak to, że w jego przytomności trzos panu zdarłem. Tyle tylko mojego, [co go nafrasuję. A musiałem go ukarać, bo mnie niesprawiedliwość wyrządził: a przecię i moim ludziom trzeba pokazać, że o nich dbam. Ale kto ze mną je chleb i sól, do mnie żalu mieć nie będzie. Wracam panu trzos nietknięty; coś pan tam włożył, to i znajdziez. Tem chętniej to oddaję, żeś pan przedemną odkrył przeznaczenie pieniędzy.

Przyznam się wam, panowie bracia, że mnie to tak rozczuliło, że i podziękować nie umiałem: tylko serdecznie go uściskałem. Ale aż mróz po mnie przechodzi, jak wspomnę o tem, co się z tego zrobiło. Jeden z hultai, szastający się około naszego stołu, widząc, że mnie oddaje trzos brzęczący, odezwał się:— Nie dość, że konia jego nie zaczepiamy, jeszcze i pieniądze temu Lachowi oddają. — A Pawlik jak się

urazi, a porwie topór: — Jak ty śmiesz, mówi, soba-
czy synu, wtrącać się do moich czynności? — A po-
tem jak go palnie, na dwie części łeb się rozleciał.
Dopiero Pawlik jak krzyknie: — Kamień u szyi
przywiązać trupowi i w Teterow go rzucić, a ziemię
obmyć z krwi; — a potem z wypogodzonym obliczem
jakby zająca trafił, na nowo siadł u stołu, mówiąc
mi: — Pan porucznik niech nie uważa. Sam, panie,
jesteś wodzem, i wiesz dobrze, że bez posłuszeństwa
wojsko być nie może. Przepraszam, że przerwałem
mu zabawę.

Przyznam się wam, że to była rzecz tak niespo-
dziewana, że aż trzy lampy musiałem wypróżnić, ni-
mem przyszedł do siebie; a potem pomyślałem sobie:
Kudak was bierz; co mnie tam wasze prawa obcho-
dzić mają, samiście się im poddali: a jak kto sobie
pościele, tak niech się i wyśpi! Zresztą, prawdę po-
wiedziawszy, czas miłe mi schodził z rozbójnikiem,
bo już do niego nie miałem żalu po zwrocie szkody,
a i winko było smaczne, i rozmowa przyjemna. On
mnie się wypowiedział z całego prawie żywota. Był
poddanym s. p. Woronicza, oboźnego koronnego,
dziedzica Trojanowa, bo w jego zamku się urodził
z rodziców dworskich, i od dzieciństwa był u niego
w wielkich łaskach, lulki panu nakładał, potem do
polowania mu assistował; kazał go pan wyuczyć czy-

tać i pisać, i pewnieby go libertował z kawałkiem chleba, gdyby nagle nie skończył życia. A tak Pawlik osiadł jak na lodzie. Bo obożny małoletnie tylko dzieci pozostawił, których opiekunem będąc z prawa natury ich wuj, pan Szczytt, podkomorzy Piński, że nigdy nie mieszkał w Trojanowie, wszystko tam było na dyskreyci rządców. Otóż Pawlik bardzo w widokach swoich upadł, zamiast u pana, u komisarza będąc na usługach. Jeszcze mu tam z początku szło jako tako, ale pokochał się z synowicą komisarzką, u stryja będącą na opiece, i jakoś ich komisarz nadszedł, gdyz sobą różaniec już odprawiali, a jak nie bądź, trudno opiekunowi być obojętnym na związki krewnej z poddanym. Pannę na prędcie wydał za jakiegoś oficyalistę, pod ręką będącego, a ławo zgadnąć co Pawlika spotkało, lubo się z tem nie chwalił; tylko mówił, że niemiłqsiernie skrzywdzony został. Ja go nie bardzo za język ciągnąłem, ale można było domysleć się, jakiego rodzaju była ta krzywda, po zemście, jakiej się nad komisarzem dopuścił. Wtedy już silna zgraja hajdamaków osiadła była w puszczech cudnowskich. Jej watażką był Burczak, najniegodziwszy rozbójnik, jakiego kiedykolwiek miała Ukraina. Nie było nocy, w którejby jaki obywatel zrabowany nie został. Dyabełby przed nim tynfa nie uchował. Jak napadnie bywało na dom, porwie gospodarza, na goły brzuch żar mu kła-

dzie, i póty dmucha, póki on mu do ostatniego szeląga wyzna. Dopiero czasem puszczał, a najczęściej zamordowywał i bez końca pomnażał rozmaite okrucieństwa przed nim niesłychane. Rozjątrzony Pawlik do niego się udał, i pierwsza była jego wyprawa na zamek trojanowski, który do szczętu zrabowawszy, komisarza powiesił do góry nogami, że go krew zalała. Kiedy w Żytomierzu porwano Burczaka, biesiadującego u kochanki, która podobno sama ostrzegła gród o jego przybyciu, rozumie się, że nie tracąc czasu urząd go éwiartować kazał, ale już Pawlik odwagą i sprytem do takiej był wziętości przyszedł u rozbójników, iż go ten motłoch na wodza jednomyślnie obrał. Równie śmiały jak poprzednik, a daleko bystrzejszy, nie plamił się podobnemi okrucieństwami, poprzestawał na łupieniu, a bezbronnym śmierci nie zadawał. Znacznie swoją komendę powiększył, bo do niego hultajstwo ze wszech stron się garnęło, aż na końcu robił trudności w przyjmowaniu, jakby jaki rotmistrz kawalerji narodowej. A była w nim jakaś żyłka uczciwości. Pewnego majątnego obywatela syn, już pod wąsem do szkół jezuickich w Żytomierzu chodzący, za jakąś psotę w szkole obatożony, tak silnie to uczuł, że pałając zemstą do niego chciał przystać: ale on nie chciał korzystać z uniesienia rozpaczy, owszem zreflektował go przekładając, że jemu, będącemu szlachcicem, a zatem ze

stanu wyłącznie poważanego w kraju, nie przystość zostać wywołańcem jak oni, co gdyby nawet i poczciwie chcieli się prowadzić, dla swego urodzenia żadnego dobra spodziewać się nie mogą. I tak ukójony chłopiec do ojca powrócił. Pawlik do takiej zuchwałości przyszedł, że otwarcie z ekonomiami w umowy wchodził, i one mu się opłacały. Niektóre corocznie mu haracz dawały, jakby jakiemu krymskiemu chanowi, lękając się napaści. Kahał piatecki płacił mu pięćset złotych na rok; które pobierał w jego imieniu garncarz miejscowy, jego kum; a z tego nic mu się złego nie stało, bo ekonomia piatecka nie śmiała go o to napastować. — Panie poruczniku — mówił mi — nie myśl pan, bym tylko był rozbójnikiem wojennym; masz we mnie wielkiego sprawcę sprawiedliwości: w całej Polsce przy mnie jednym jest juryzdykcyja między dziedzicem a chłopem. Jak dziedzic lub ekonom ukrzywdzą chłopca, a ten do mnie się uda ze skargą, zaraz poselam, żeby mu sprawiedliwość zrobiono, z groźbą, że inaczej tydzień nie minie, a dwór z dymem pójdzie. Z początku ze dwa razy dla przykładu com przyrzekł tom dotrzymał; ale chwała Bogu, nie ma teraz potrzeby tego poprawiać: bo w całej okolicy nikt już chłopca nad inwentarz nie zażywa.

Cóż powiecie, panowie bracia. Trzy doby bawiłem u Pawlika na gościnie, nie z musu, ale z wła-

snej ochoty, bo jeszcze tej samej nocy przybyli hultaje z Cudnowa odesłani, z listem do mnie od szanownego łowczego, w którym tysiącnie robił deprekacye, że z jego powodu tyle przykrości doświadczyłem, i prosił, bym na bonifikatę przyjął od niego dwadzieścia koni z rynsztunkiem, które mi odesłał do Budy. A lubo jam go potem zapewnił, że Pawlik wrócił mi co był zabrał, pocziwy łowczy swojej ofiary nie cofnął, i odesłał mi dwudziestu jeźdźców, którychem generalności przedstawił swego czasu. Mimo siebie puszczając wszelkie bezprawia, jakich nieraz Pawlik się dopuścił, tyle go znałem gościnnym i dobrze względem kraju w duchu usposobionym, że pomyśliłem sobie: *Deus me concordat!* czego mi wchodzić w cudze postęпки? wszak Duch Święty powiedział: *nie sądz, byś nie był sądzonym.* I tak przez trzy dni ugościwszy, odprowadził mnie Pawlik do szyjeckiej Budy, gdzie powoli zbierałem mój oddział i nowo zaciężnych uczyłem obrotów, a on ciągle o wszystkim mnie donosił, że ani patrolów, ani placówek nie potrzebowałem wysłać.

Nie na tem koniec. Razu jednego wzięwszy mię na stronę, mówi: — Panie poruczniku, między swoimi więcej trzydziestu ludzi wyrozumiałem, że myślą tak, jak ja: wszyscy chcemy do pana przystać, i generalności służyć. — Od Pana Boga wasza myśl

natchniona! — Ale ja panu przyznam się, że na mnie w grodzie żytomierskim leży dekret; jak do pana przystaniem i pójdziem dalej, a kto z tych stron mnie pozna; to żeby mnie czasem nie kazano powiesić? — Pluń waćpan na to. A co to, ja malowany, żebym dopuścił aby skrzywdzono takiego, co podemną służy? Już masz zasługi, których pewnie nie zamilczę; a jeśli jest jaki dekret; ten był ferowany na Pawlika herszta rozbójników, a nie na Pawlikowskiego, prawdziwego szlachcica, zasłużonego dowódcę oddziału ochotników, walczącego za wolność i wiarę, bo już jesteś dla mnie Pawlikowskim, i ciebie inaczej nigdy nie nazwę. — A jeśli Pan Bóg dopuści, a pokaże się, żem się zdał na coś, czy wyrobi mi generalność potwierdzenie tego nazwiska i szlachectwo? — Ani wątp o tem. Jak dobrze pójdzie sejm, wszystkim zasłużonym da nobilitacyę; tak Pan Bóg przykazał i były takie przykłady. A nim do tego przyjdzie, kto będzie wiedział jaki twój ród? Ja przed starszym przedstawię cię jako szlachcica z Polesia, który moją prawą ręką jest; a kto mi odważy się rozprawiać? O! porucznika piatyhorskiej chorągwi w kaszy nie zjeść. — Pawlik jak długi padł mi do nóg, i nazajutrz on i przeszło trzydziestu jego ludzi przedemną przysięgę wykonali. Tak tedy, kiedy pana Puławskiego w Berdyczewie oblegano, miałem więcej stu młodzieży łebskiej, na dzielnych koniach, należycie

uzbrojonej i odzianej. Chciałem mu iść na odsiecz, a Pawlik mnie przekonał, że na kilka tysięcy regularnego wojska opatrzonego w armaty, próżno byłoby z naszą garścią o jakąś korzyść się pokuszać. Czego innego wkrótceśmy potem dowiedzieli: pan Puławski, broniąc się w Berdyczewie, tuszyl, że go wybawi szlachta z Kijowskiego i z Wołynia, ale panowie Stempkowski, regimentarz generalny wojsk królewskich, i Branicki, wówczas łowczy koronny, nie dopuścili tego; co się zaś tyczy Wołynia, szlachta tamieczna rada, że między sobą rozchwytała ordynację ostrogską, wcale nie życzyła sobie odmian. Tak więc pan Puławski siedział w forteczce karmelitańskiej, jak mysz w pułapce. Bronił się jak mógł, ale widząc, że nie ma rady, o kapitulację prosił. I chyba głupi miałby mu to za złe.

Niedługo potem poczciwy Pawlik skończył, właśnie jakby dla usprawiedliwienia, że *kto ma wisieć nie utonie*; on utonął, bo nie miał wisieć, tak jak chciał tego kiedyś gród żytomierski. Kiedy uchożdząc na Pokucie, wpływ przeprawiliśmy się przez Zbrucz, trzeba było takiego nieszczęścia, żeśmy jednego tylko utracili człowieka, a tym właśnie był Pawlik. Widno, że koń, z którego upadł, musiał go zawieść; bo kiedyśmy na przeciwnym brzegu stanęli, ani Pawlika, ani jego konia już nie ujrzeli; a własnymi oczami widziałem, jak był skoczył w rze-

kę. Szczerześmy go żałowali; ale cóż, kiedy taka była wola Boża! Wierzajcie, panowie bracia, mnie staremu, że gdyby nie był marnie zginął, wysokoby zaszedł: to był rodzimy żołnierz, a do tego całą gębą kawalerzysta!

XIX.

Król Stanisław.

Nie jest to łatwo sądzić o rzeczach publicznych, a tem więcej o mężach, którzy na nie wpływali. Ztąd wedle mojego zdania największa przysługa, co ją wysoki rozum dla kraju uczynić może, jest opisanie należyte jego dziejów. Cycero mawiał: *Historia magistra vitae*;—a przecię, lubo głęboki mędrzec i nadzwyczajny krasomówca, lubo przez jego ręce przechodziły najważniejsze interesa rzeczypospolitej, nie dowierzał sobie, i nie odważył się wydać dziejów ojczy-
stych. Po zagranicznych krajach, gdzie liczni piórowi rzemieślnicy uprawiają papier pod książki, jak

u nas szlachta rolę pod żyto i jęczmień, namnożyło się historyi różnego rodzaju. Ja ich nie czytałem, bo oprócz swojego i nieco łacińskiego, żadnego obcego języka nie rozumiem; a przecię pewny jestem, że te ich pisma, lubo pokupne, żadnego istotnego pożytku nie przynoszą. Kto przedsięwzięcie opisać dzieje jakiego narodu, powinien wprzód obeznać się gruntownie nie tylko z jego językiem, ale jeszcze z jego prawodawstwem, z obyczajami obywateli, a zasiliwszy się takowym zasobem, dopiero wziąć się do roboty. A i wtedy nawet nie ma pewności, aby się ona udała. Bo nie dość to wszystko znać; jeszcze trzeba mieć jakieś doświadczenie w prowadzeniu ludzi. — Kował gwoli kuje lemiesz czy podkowę, ale naród nie jest sztabą martwą w ręku tego, co mu przewodniczy, choć on prowadzi podwładnych; przecię robi się z niemi tylko to, co daje się robić; bezwątpienia władza niemi, a jednak niewidocznie ulega sam ich woli. Pod tym względem uważając rzeczy, możnaby sobie oszczędzić wiele zapytań, które z pierwszego rzutu rozwiązać się nigdy nie dadzą. Dlaczego Jagiełłowie, mając Litwę i Ruś po sobie, nie utwierdzili dla siebie spadkowego tronu w koronie, jak go mieli we własnym kraju? Dlaczego Batory Prus książęcych z Polską nie zjednoczył? Dlaczego Zygmunt III nie ugruntował syna na sąsiednym tronie? Dlaczego Jan III niczego nie obwarował dla rzeczypospolitej,

biegnąc na ratunek Wiednia? Dlaczego konfederacya Barska przybrała hasło niepolityczne przeciw dyssydentom? Wszystkie takowe zadania niejednokrotnie słyszałem, i po szczeremu wyznaję, że na nie dać odpowiedzi nie umiem; ale zdaje mi się, że i świadomego odpowiedź byłaby w rodzaju tej, co ją kiedyś uczynił pewien biegły wojsk dowódzca lekkomyślnemu młodzieńcowi, chcącemu go sztuki wojennej nauczyć. Owemu dowódcy nie było się razu jednego szczęśliwie powiodło, a tamten chciał mu dowieść, pokazując palcem na mappie jakąś rzekę, że gdyby był przez nią wojsko swoje przeprawił, na głowę nieprzyjacielaby poraził:—Waćcin palec nie jest mostem—odpowiedział na to zniecierpliwiony wódz. Żeby dobrze opisać dzieje swojego narodu, bo wątpię aby opisanie cudzego udać się mogło, trzeba mieć jakieś doświadczenie w kierowaniu ludzi przy okolicznościach zawiłych, a zbyt rzadko łączy się w jednej głowie i dzielność w czynkach i dar przełożenia tychże uczynków w księgi. Dajmy na to, że takowe zjawisko się uisici, jakże trudno nie dać się ułudzić miłością własną, i stronnością; bo mąż piszący rzeczy, do których sam wchodził, częstokroć musiałby sam siebie obwiniać. Cieszę się, że nie mamy historii ostatnich naszych czasów, bo niezawodnie byłaby nie do rzeczy. Niech każdy stary sumiennie pisze to, czego sam był świadkiem; niech pisze po swojemu,

rzeczy uważając z własnego, a nie uczonego stanowiska—a dopiero jak będzie potrzeba, znajdzie się taki, którego Opatrzność wzbudzi, aby z tego wszystkiego pożyteczną ułożył historję.—Całkowitą młodość przepędziłem w otwartych bojach z królem Stanisławem, lub w domach jemu nieżyczliwych, a jednak wszystko po Bożemu rozebrawszy, potępić go nie śmiem, ani jemu przypisuję niezasłużonej winy. Pewny jestem, że jeden człowiek wielką ofiarą, nadzwyczajnem poświęceniem się cały naród swój może zbawić, ale żeby jeden człowiek, acz najwyższy, występkami swojemi mógł naród potępić, tego nie przypuszczam, bo mniejsza zbrodnia przeczyć Boga istności, niż sprawiedliwości i miłosierdziu. — Nie królów, ale poddanych grzechy gubią narody, bo z chlubą wyznać możemy, że żaden tron na świecie nie pochwali się panami tak łagodnymi, tak sprawiedliwymi, tak uczonymi, jak polski. I król Poniatowski miał wielkie cnoty, większe bezwątpienia, niż niektórzy z poprzedników jego. Przy innych okolicznościach byłby sobie uzyskał odgłos wielkiego króla. Jakoż widzieliśmy rozmaitych władców, którzy przed naszymi oczyma rzecz swoją nieźle prowadzili, uchodząc za mądrych i przezornych, a przecie ani rozumem, ani wiadomościami, ani łagodnością obyczajów naszemu Stanisławowi sprostaćby nie mogli. Całe nasze nieszczęście, że wpadliśmy byli w taką zagmatwaninę, iż największy człowiek nie

dałby jej rady. *Wiele złego dwóch na jednego*, mówi przysłowie, a cóż dopiero, jak tłum go weźmie w obroty! Chociażby się nie wiedzieć jak odgryzał, nie postawi nigdy na swoim.

Niechaj mędrcomie świdrzą rozumem, a ja poprostu tłómaczyć się będę: jest to grzech pierworodny, na który zbyt ciężko chrzest wynaleźć; a chociaż mu nie przeczyli ani rozum, ani zdatności, nie dowierzali atoli tyle tym przymiotom, by myśleć, że niemi zastąpi tę powagę, co ją ród wysoki i dziedziczne państwo saskiemu domowi zabezpieczały. Magnaci tak dalece byli przekonani, że nie była pora Piastowi panować, iż żaden z nich o koronę się nie pokusił. Bo nie ma co liczyć księcia Lubomirskiego, człowieka z umysłem pomieszonym, a którego intryga wystawiła była w czasie bezkrólewia, aby osłabić jedność magnatów. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda Wileński, głowa tej partyi, w której tyle lat walczyłem, jako żołnierz i ziemianin był nie tylko głębokim, ale poczciwym statystą, bo ile mógł, przeszkadzał królowi Poniatowskiemu, i nawet usiłował go zepchnąć z tronu, na którym wedle jego przekonania nieprawnie był zasiadł, obstając za domem saskim, z poświęceniem wszelkiej prywaty, gdyż mógł mieć żal do nieboszczyka króla za odmówienie mu buławy litewskiej po śmierci jego ojca. Ale skoro się upewnił, że

żadnego wsparcia z zagranicy mieć nie można, że dom saski przestał o nas myśleć, że wszystkie dwory obojętnie na nas patrzą, przekonał się, iż jako tonący za brzytwę się chwyta, kiedy innego nie ma wsparcia, tak poczciwym obywatelom nie zostawało nic więcej, tylko się tulić do króla, zespolić wszystkie narodowe korzyści z jego osobistemi korzyściami, aby on czując siebie bezpiecznym między swojemi, nie zebrał wsparcia u postronnych, a tak, iżby każdy uważał być największą zbrodnią, wszelką usilność w czemkolwiek bądź nadwątlić tę jedność króla z narodem, w przekonaniu na doświadczeniu opartem, że każda partya przeciwna królowi zostanie tylko narzędziem, którem szerzyć się będzie wyłom, co go nierząd w kraju wybił od lat tylu. Jak się więc pogodził z królem, mimo siebie puszczając prześladowania, których od niego doświadczył, pogodził się szczerze, i aż do śmierci ani on, ani żaden z jego partyi, która całą Litwę zajmowała, nie złamali mu wiary i poddaństwa. Owszem na wszystkich sejmach posłowie litewscy jednomyślnie z dworem głosowali. Jakoż na pamiętnej sessyi sejmowej roku 1786, kiedy rzecz chodziła o przyznanie królowi *Subsidium charitativum*, dość długo rozprawiły stany koronne w połączonych izbach; ale kiedy kolej przyszła na Litwę, książę wojewoda Wileński objawił i życzliwość Litwinów, i swoją własną potęgę temi słowy:— „Nie mitrząc czasu tak drogiego przy

kończącym się sejmie, w imieniu całej prowincyi litewskiej daję affirmatiwę“. I ani w stanie rycerskim, ani nawet w senacie nie znalazł się żaden, coby mu tego pełnomocnictwa zaprzeczył. — Pan Bogusz, niegdyś sekretarz generalnej konfederacyi Barskiej, był może najgłębszym w całej Polsce statystą, i nadzwyczajnie poświęcał się dla kraju. Kiedy jego i nasze starania na niczem spelzły, na małym przestał, osiadł na dziesięcio-dymnym folwarczku, na którym miał dożywocie z łaski naszego księcia wojewody, bo więcej nic od niego przyjąć nie chciał. Tam zajmował się pielęgnowaniem pięknych kwiatów, rzadko kiedy dom opuszczał nawet dla Nieświeża, ale dawnych znajomych rad był w nim ugaszczać. Razu jednego, kiedy mu służyłem w jego domku z panem Świętorzeckim, także wielkim statystą a jego ścisłym przyjacielem, zgadało się wedle naszego zwyczaju o rzeczach publicznych. Pan Bogusz mnie znał, kiedy to jeszcze byłem pokojowym u JW. Ogińskiego, wojewody Witebskiego, i nie mało czasu strawiliśmy z sobą we dwóch konfederacyach; a tem bliższy wstęp miałem do niego, że nie chwaląc się, na takiej nodze postawiłem mu interes z sukcesorami tegoż JW. Ogińskiego, że na pół darmo godząc się z nimi, czterdzieści tysięcy mu odliczono. A służyłem mu z przy-

jażni, bo żadnej nagrody nie przyjmowałem, chociaż kilkakrotnie coś mi chciał wetknąć w ręce. Otóż pan Bogusz zaczął mówić o potrzebie powiększenia władzy królowi, że nasze starodawne cnoty zanadto już były zbutwiałe, byśmy się mogli nadal cieszyć po dawnemu. Pan Świętorzecki na to się nie godził, jako utrzymywał, że powierzyć się nie można panującemu regnantowi. — Jakże—mówił—oddać skarb i wojsko marnotrawcy i tchórzowi? — Na to pan Bogusz tak odpowiedział:—„Panowie bracia, nikt więcej odemnie nie nadokuczał królowi, bo przekonany byłem, że tylko panowanie monarchicznego domu mogło nas ocalić. Ale jeśli ma być koniecznie Piast, może z pomiędzy wszystkich zdatniejszego nie znajdziecie”.—Na tośmy obadwa powstali: — A co to panie sekretarzu!—odezwał się pan Świętorzecki,—czy daleko szukać trzeba zdatniejszego Piasta? A wszakże trzy mile nie spełna liczymy do Nieświeża! Godzi-li się przepomnieć naszego księcia?“ — A pan Bogusz — „Moi panowie, gdyby to odemnie zależało, a Litwa była odrębnym narodem, anibym się wahał uwieńczyć koroną to panowanie, co nasz książę swojemi cnotami nad nami otrzymał. Któż więcej odemnie przypatrzył się jego szlachetnym postępkom i poświęceniu się dla dobra ogólnego? Ale nasza Litwa jest tylko częścią Rzeczypospolitej, a wam wiadome uprzedzenia naszego księcia przeciw wszystkiemu, co nie z Litwy.

Każdego Wielkopolanina nazywa *kaszubą*, kto z Małej Polski, u niego *cygan*, a kto z Rusi koronnej, ten u niego *kuśnierz*. W dobrach, co ma w koronie, żaden z tamecznych stron officyalista w jego służbie się nie utrzyma; wszędzie naszych rozseła, czem jeszcze więcej Litwę obowiązuje. Ale nie królewska to rzecz dla jednej prowincyi być wylanym, a drugie od siebie odganiać. A potem, czybyście dokazali, żeby fałdów przysiedział w Warszawie? W czasie sejmu ledwo szósty tydzień dotrzymał, tak tęsknił za Nieświeżem. A przecię król w swojej stolicy mieszkać musi. Jeżeli tedy on przy tak wielkich cnotach duszy i nadzwyczajnym dowcipie przyrodzonym nie myśli, by dla swoich przesądów całej Rzeczypospolitej mógł dopisać, czy znajdziecie jakiego innego Piasta, coby był zdatniejszym do rządu od terażniejszego? Nie tajno wam, jak ściśle stosunki miałem ze wszystkimi naszymi magnatami. Otóż powiem wam, że jako ich wszystkich widziałem godzących się na królewicza, tak pomimo ściślej przyjaźni, co ich w jedno grono łączyła, każdy z nich tak dalece poznawał, czego drugiemu nie dostawało, że prędzej zezwolilby na Poniatowskiego, niż na którego ze swoich zaczynając od naszego księcia. Wiem dobrze, że w duchu król Stanisław nie wiele o nas trzyma, ale już i to wiele, że sobą władać umie. Pytajcie naszych zakutych Litwinów, bywających w Warszawie, a każdy

z nich powie o królu, że jest pełnym powagi, nie wda-
je się w żadne śmieszki każdego poddanego przy-
muje jednak, i choć miłuje swoich literatów, nie za-
ciera nimi gospodarzów. A na księcia generała skar-
żą się, że ich w pośmiewisko obracał. Tak więc
wszystko rozebrawszy, wnioskuje, że najlepiejby by-
ło, aby Sasi jak panowali nam blisko lat siedmiudzie-
siąt, i dalej panowali, bo z pomiędzy zagranicznych
domów on jest najmniej obcym naszym wyobrażeniem.
Ale że wola Pana Boga, aby tubylec nami rządził,
oddajmyż więc jemu sprawiedliwość. A jak nie sta-
nie Stanisława Augusta, (a my się tego doczekamy),
wtenczas obróćmy naszą życzliwość ku wielkiej i do-
broczynnej krwi Jagiellońskiej, ku temu domowi,
z kąd król terazniejszy czerpał i swój wzrost, i te na-
dzieje, które Opatrzność tak hojnie ziściła. — Skoro
pan Bogusz nam dowiódł, że nasz ksiązę nie byłby
zupełnie dogodnym dla całej Rzeczypospolitej, oboję-
tną była dla nas rzeczą niezdatność do korony i in-
nych magnatów, aleśmy nie mogli nie podziwiać, że
on, tak czynny przeciwnik partyi Czartoryskich, do
nich skłaniał przyszłe nadzieje. Spostrzegłszy nasze
podziwienie, tak się nam tłumaczył. — Panowie bra-
cia, obywatel poczciwy powinien ile możności bronić
ustaw swojego kraju, z poświęceniem nawet własne-
go przekonania, bo gdzie o powinność chodzi, tam już
nie ma miejsca na rozumowanie. Jednak, wcześniej

czy później, nadchodzi czas potrzeby nowych warunków dla społeczeństwa. Pocziwi ludzie, co im się opierają, dopełniają swojej powinności, ale nigdy zwycięstwem cieszyć się nie mogą. Bo starość musi ustąpić miejsca młodości, na którą kiedyś kolej przyjdzie także zostać starą. Rzecz pewna, że ci którym obmierzył dawny porządek, nie składają cnotliwszej części narodu, gdyż namiętności zawsze nowościom sprzyjają, ale cóż na to poradzić, kiedy doświadczenie nas uczy, że nakoniec słusność jest przy nich? Nie żałuję ofiar i poświęceń moich dla dawnego porządku, i dziś jeszczebym je odnawiał, chociaż w przekonaniu, że one na nic się nie przydadzą—bo nie ma nic wspólnego między dopełnieniem powinności, a przeczuciem pomyslnego skutku. Ale jakkolwiek być może, że prywatna kieruje postępkami ludzi, co popierają nowości, wątpić nie można, że przyszłość jest ich a nie naszą spuścizną. Próżna więc usilność chcieć wskrzesić to co już nie żyje; lepiej po szlachetnym oporze godzić się z nowymi wyobrażeniami, by przy tej zgodzie zachować to, co jeszcze zachować się może, by przynajmniej ocalić pamięć sławy naddziadów, starając się ile możliwości do nich łączyć te nowe wyobrażenia. Pokąd sława przodków jest świętą dla narodu, nie ma jeszcze nic dlań rozpaczającego — ale skoro ta będzie znieważoną, pomiataną, w pośmiewisko obróconą, wszystko wtedy przepadło, bo już to jest oznaka

oczywista, że naród niewart bytu, że nawet żyć nie może, ponieważ już się oderwał od korzenia, z którego żywot swój czerpał. Przyznam się wam, że w przyszłości lękam się mocno o sławę wielu naszych godnych mężów, którzy, nie poprzestając na tem, co już chwalebnie dopełnili, dla zachowania dawnych naszych ustaw nie chcą, za przykładem naszego księcia szczerze się pojednać z położeniem rzeczy nieodzownem. Strzeż Boże, ażeby, kiedy przyjdą ostatnie rzeczypospolitej zapasy, uporem swoim w przepaść jej nie wtrącili, wołąc się chętniej łączyć z obcymi, niż podzielać z ziomkami to, co uważają być błędem.— Te były słowa tego wielkiego statysty, który tak zgłębił rzeczy nasze, iż ledwo nie duchem wieszczym przeczuwał, w co się one obróca. Szczęśliwy! że nie doczekał nieszczęść, których nigdy nie przestawał przewidywać. Ale te słowa jego nigdy mi nie uszły z pamięci. Byłże senator wyższy w świetle, wolniejszy od samolubstwa, równy w poświęceniu swoim dla kraju księciu Antoniemu Czartoryskiemu? Byłże większy obywatel od Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, Antoniego Puławskiego, i t. p. i t. p.? A przecię na jak okropne stanowisko popchnął ich wszystkich upór w zamięłowaniu rzeczy godziwych i świętych, ale do których cały naród już smak był utracił! W roku 1784 król Stanisław, objeżdżając wielkie księstwo Litewskie, nie ominął stolicy

naszego Mendoga. Między nami Nowogrodzianami przeciw niemu wielkie krążyły uprzedzenia ale na widok jego dostojnej osoby, jego majestatu prawdziwie królewskiego, wszystkie one stajały, jak śnieg kwietniowy przed słońcem. Napatrzyłem się na niego; było coś czarującego w tych rysach pięknego oblicza. Na granicy naszego województwa, gdzie go odprowadziły urząd i szlachta Brzesko-Litewska, przyjętym został od starszyny nowogrodzkiej. Wszyscyśmy byli na koniach, a na czele naszym JW. Niesiołowski, nasz wojewoda, który go powitał czułą mową, a król nieprzygotowany dziwnie pięknie na nią odpowiedział, dziękując za przywiązanie szlachty oświadczone mu przez cnotliwe usta nieskażonego w zawodzie pełnym zasług ich sędziwego wojewody. A potem, gdy ten mu przedstawił urzędników i szlachtę, każdemu coś powiedział takiego, co go za serce uchwyciło. Nawet gdy między innymi przedstawiony mu był pan Michał Rejtan, nasz pisarz ziemski, z taką czułością wspominał brata jego, Tadeusza, że wszystkim przytomnym łzy dobył z oczu. Dopiero według staropolskiego obyczaju urzędnicy brzescy zdali urzędnikom nowogrodzkim usługę królowi, który w ciągu swojego pobytu nosił mundur naszego województwa. W. Rdułtowski nasz chorąży, zastępujący miejsce pierwszego urzędnika, odebrał z rąk JW. Niemcewicza, podkomorzego Brzeskiego Litewskiego, pod rejestrem szaty

i sprzęty podróżne królewskie, przyjął i dozór nad jego dworem, ciągle się sam zajmował odziewaniem króla i ścieleniem jego łóżka przy asystencyi innych urzędników, tak, że przez cały czas jego pobytu, tylko *possessionati et bene nati* dotykali się naszego pomazańca. Była wielka okazałość przy nim, i siła pieniędzy poszła na wydatki jego podejmowania, a te pieniądze nie z jego kassy wyszły, ale naszą były krwawicą. Kiedy urzędnicy zbierali między sobą składkę, my szlachta bardzo się obruszyli, że nas nie wzywają. Pan Łukasz Hreczecha w naszym imieniu się odezwał:—A co to, panowie urzędnicy, sami tylko czujecie się być godnymi podejmowania króla. a nas szlachtę za ba i bardzo macie?— Dopiero każdy z nas co mógł sypał, a szczerze, bo kiedy szlachcie się rozczuli, rachować się nie umie. Dość, że taka nawała brzęczączek padła u pana Stefana Wereszczaki, skarbnego nowogrodzkiego, że kiedy król nas opuścił, to chociaż po królewsku był podejmowany, a do tego każdy z jego dworzan i sług stosowny do swojego znaczenia otrzymał upominek; więcej dziesięciu tysięcy zostało u pana skarbnego, z którycheśmy uchwalili fundusz na coroczne wybite medalu złotego, a czterech srebrnych, z popiersiem królewskim, na nagrodę uczniom nowogrodzkim, najlepiej odznaczającym się w czasie szkolnych popisów. Król otoczony czołem województwa i tłumem szlachty, wjechał kon-

no do Nowogródka i przed farnym kościołem stanął, chcąc najpierwej uczcić Pana nad pany. Kiedy zsiadł z konia, pan chorąży Rdułtowski podał mu swoje ramię, a pan Stanisław Orzeszko, koniuszy nowogrodzki trzymał jedną ręką trzęzle, a drugą strze-
mie. U drzwi kościoła, na czele duchowieństwa JW. ksiądz Koncewicz, kanonik wileński, a oficyał nowogrodzki, orderu królewskiego kawalèr, powitał go mową. Potem król ciągle klęcząc, słuchał Tajemnic Pańskich, w czasie których wymieniony szanowny kapłan przyniósł mu mszał, i klęcząc podał Świętą Ewangelię do ucałowania. Po mszy świętej, urzędnicy województwa oddzielili się od szlachty i skupili się w grono; JW. Gedeon Jeleński, kasztelan Nowogrodzki, zabrał głos, którym oświadczył w imieniu tychże urzędników radość publiczną z powodu dnia tak świetnego, w którym łaska Najwyższego użyczyła ich województwu nacieszyć się obliczem pana i ojca całego narodu. Książę Radziwiłł, wojewoda wileński, lubo i był zaproszony do grona urzędników, stał między nami, oświadczywszy iż nie mając urzędu w tem województwie, jest prostym szlachcicem. Gdy skończył mówić JW. kasztelan, od nas witał króla jegomości pan Paweł Odyniec. Po tych mowach i królewskich odpowiedziach, bo król na każdą mowę odpowiadał dziwnie pięknie, a głosem tak miłym, że jakby wdzięczną muzyką wszystkich serca wabił ku

sobie; dopiero duchowieństwo, urzędnicy, szlachta; ba i prostaczkowie nawet zaczęliśmy śpiewać *Te Deum laudamus*. Po odśpiewanym hymnie poszliśmy wszyscy za królem do szkoły wojewódzkiej. Ksiądz Krzysztof Haraburda, rektor, przyjął króla łacińską mową, na którą król odpowiedział tymże językiem, ale tak płynnie, jakby rodowitym; czem do reszty nas zawojował. Potem od każdej szkoły uczeń wystąpił przed króla z mową; od Poetyki w języku francuskim perorował pan Julian Niemcewicz, podkomorzyc Brzeski. Widać było, że król był uderzony wymową tego kawalera, jakoż mnie upewniali świadomi przytomni, że ta mowa miała być bardzo piękną. Ale wspomnienie tej uroczystości rozdziera moje serce; młodszy mój syn, mój Karolek od Syntaksy, mówił przed najjaśniejszym panem i podobał się królowi, bo od dzieciństwa dziwne miał szczęście do ludzi. Wielkie na nim, nietylko my rodzice, ale i przyjaciele pokładali nadzieje, bo i twarz jakby aniołka, i przy wielkiej zdatności nadzwyczajna pilność i potulność. Pan Bóg mi go dał, Pan Bóg mi go odebrał, niech Mu będzie chwała na wieki wieków! Król miał przesłiczną do naszej młodzi mowę, prawdziwie jak ojciec do dzieci przemówił, a tak, że aż ryk dał się słyszeć po wszystkim kościele. A gdy potem własną ręką rozdawał medale celującym uczniom, gdy go przypinał mojemu Karolkowi, nie wiem co się ze mną stało, ale

wszystkich roztrąciwszy, przedarłem się wprost do króla, jak długi padłem mu do nóg i rozbeczałem się, że sam król bardzo się rozczulił, podniósł mię, dał rękę pańską do ucałowania, pobłogosławił mi syna, i jak się później okazało, dał dowód, że ta moja rzewliwość nie była mu od smaku. Że była właśnie natenczas kadencya Śto-Michalska, król oświadczył, iż radby nawiedzić sądy. Pan Ignacy Rewieński, prezydujący w ziemstwie, z kolegami swojemi śpiesznie udał się do sądu, aby króla przyjąć w czasie gotowej sessyi. I tak się uwinęli, że kiedy król przybył, zastał sędziów na miejscach, słuchających agitującej się sprawy. Indukt dopiero zaczęty przerwany został, a pan prezydent krótką mową powitawszy najjaśniejszego pana, zaprosił ojca i najwyższego sędziego narodu, aby raczył osobiście wymierzyć tę sprawiedliwość, co ją oni jego powagą i imieniem poddanym głoszą. Król zasiadł w krześle, a wszyscy sędziowie stali w milczeniu, bo w przytomności króla pełność władzy sądowniczej w jego tylko osobie zostaje. Pan Fabian Wojniłłowicz właśnie indukował sprawę dość z siebie mało znaczącą. Rzecz chodziła o otrzymanie dekretu nakazującego wypłatę sumy, z prostego długu należnej, po dwóch kondemnatach uzyskanych na panu Römerze, marszałku Oszmiańskim, przez pana Jakóba Potrykowskiego, w ziemstwie Nowogrodzkim; pan Jelec, umocowany pana

marszałka, stawał z tem, że jego stronie zaoczność niesprawiedliwie przypisaną była, gdyż pozwy nie były kładzione na jego dobrach w województwie Wileńskim, na których opiera się ubezpieczenie sumy zaciągniętej, ale pozwy położone były w Nowogródku, gdzie piędzi ziemi nie posiadając, pilnować się nie mógł; domagał się tedy uchylenia zapadłych kondemnat. Ale pan Wojniłowicz stanął z prawem, którem *forum ubi quinarium* całemu W. K. Litewskiemu jest dozwolone w sprawach *simplicis debili*; ale w ciągu induktu z ręcznie zrobił zwrot do króla, którego w imieniu palestry ziemskiej powitał. Z mocy więc prawa wypadł wyrok na pana marszałka, aby pod winą wywołania, na naznaczonym terminie sumę zapłacił, a ten wyrok przez króla podpisanym został. Pan Jelec, lubo sprawę przegrał, w imieniu swojego pryncypała zadowolenie podpisał, oświadczając, że jest nadto wiernym poddanym, aby w czemkolwiek różnił się w zdaniu z panem swoim. Wszystko to i godziny nie trwało, bo wszystko było przygotowane, by królowi czasu nie kwasić. Po ogłoszeniu wyroku, najjaśniejszy pan poszedł do grodu, gdzie go pan Kazimierz Haraburda, sędzia grodzki prezydujący, powitał, podobnie jak w ziemstwie prosząc go, aby raczył wysłuchać sprawy. Jakoś się nie opatrzył, że nie było przyzwoitą grzecznością prosić króla, aby zasiadł w jurydyce, gdzie nie w jego ale w wojewody imieniu wyroki się

głoszą. Ale król przedziwnie się znalazł, bo przyjmując to jego oświadczenie za dowód życzliwego poddaństwa, co w istocie tak było, oświadczył ze swojej strony, iż w namaszczeniu swoim przyjął stopień duchowny, a zatem wedle kanonów do spraw kryminalnych udziału sądowicznego mieć nie może, i dziękuje Bogu, że mu prawo nie pozwala karać miłych poddanych, czego by mu i własne serce zabroniło. A ja w imieniu palestry grodzkiej miałem rzecz do króla. Łaskawi przyjaciele winszowali mi, że jakoś nie najgorzej mi poszło; wiem przynajmniej, że jeśli tam były pochwały królowi, nie z pochlebstwa, ani z podłych widoków pochodziły, ale były istnem wynurzeniem mojego przekonania, a król w krótkich wyrazach okazał, iż mi jest rad. W dniu tym był wielki obiad, dany królowi przez szlachtę w kościele OO. Dominikanów; więcej nas tysiąca siedziało za stołem. Przykro nam było, że król rad nierad wielkie grzeczności wyświadczać musząc jednemu z obcych książąt, kazał jego na ten obiad zaprosić, i posadził go tuż przy sobie. Bo kiedy dzieci ojca przyjmują, nieradzi wtedy, by cudzy do nich się przybliżał. Tam wedle starego obyczaju urzędnicy województwa wzięli się do służby, a na czele ich W. Chryzostom Rdułtowski, nasz chorąży. Pan Hipolit Korsak i pan Michał Ginter, jeden stolnik, drugi podstoli, zajęci kuchnią, zastawiali półmiski przed

królem, podawali je i chleb mu krajali. Pan Jan Kiersnowski, cześnik, przynosił butelki i korki do-
bywał, a pan Antoni Zwierowicz, podczaszy, nale-
wał wino królowi, którego butelka więcej sta złotych
kosztowała, a nalewał go w malutki kieliszek, gdyż
król nie był wezwyczajony do trunku, owszem brzy-
dził się w nim zbyt kować. Pan Wojciech Płasko-
wicki, krajczy, rozbierał pieczenie i krajał mięsiwa
królowi przeznaczone. A inni urzędnicy między sobą
podzielili dozór nad hajdukami pańskimi i inną li-
beryą, z rozmaitych dworów obywatelskich zebraną
dla publicznej usługi. Podzielili ich na oddziały, tak,
że każdy oddział miał nad sobą urzędnika. Srebra
były zbierane z całego województwa, ze wszystkich
jego posesyonatów, co z herbów można było poznać,
a nad tym kosztownym kredensem miał dozór pan
Ignacy Rewieński, prezes sądu ziemskiego. Jeszcze
to w czasie obiadu księżę gość, widząc że Zwierowicz
królowi wino nalewa, kiwnął na niego i swój mu kie-
lich pokazał, by i jemu nalał; ale nasz podczaszy, że
tylko swemu obowiązany służyć, jakby go nie rozu-
miał, postawił butelkę na stole. A księżę tylko mar-
sem na niego spojrział, o co on mało dbał, i tamten
sam sobie wina nalać musiał. A że my to uważali,
była nam pociecha, iż przynajmniej duma upokorzona
została. Przy obiedzie spełniono kilka wiwatów, je-
dnak towarzystwo nie bardzo było animowane, bo

ten dokuczliwy intruz psuł nam zabawę. Starszyna nie chciał nas zagrzewać do kielicha, aby któremu z nas coś się nie wypsnęło, bo jakbykolwiek człowiek był ostrożnym po trzeźwu, to przy kielichu nie najlepiej wyjdzie obcy, który się tam urodzi, gdzie go nie posiali. Ale z tem wszystkiem, niedość mogliśmy się nacieszyć naszym królem. Po obiedzie król z księciem wojewodą Wileńskim pojechali do Nieświeża na całą noc, gdzie przededniem stanęli. Król tam miał dwie doby zatrzymać się, i wszyscy urzędnicy, nie odstępując króla, za nim pojechali. Król obiecał panu Rdułtowskiemu przyjechać do Nieświeża, ale że on, jako zastępujący miejsce podkomorzego, ani na jedną chwilę nie chciał się odkazać od przełożenia nad królewską usługą, więc pojechał za nim do Nieświeża wraz ze wszystkimi urzędnikami, gdzie i żona jego, księcia wojewody rodzona siostrzenica, umyślnym uwiadomiona, pojechała. Ale zaprosiwszy całą szlachtę nowogrodzką do Snowia na dzień pojutrzny, uprosił przyjaciół i sobie obowiązanych, aby wprost natychmiast ruszyli do Snowia, by rozporządzenia w jego niebytności zrobili do przyjęcia tak okazałego i liczego gościa; i mnie tam wyprawił, mówiąc: — Zmiłujcie się, by mnie wstydu nie było, a zajmijcie się gospodarstwem, bo czasu niewiele. — Ja srebra i szkła zebrane z sobą zabrałem, chociaż gospodarstwa nie było, przy pomocy licznych przyja-

ciół i krewnych tego domu jakoś się urządziło tak snadnie, że wszystko pokazało się być przyzwoitem. Nazajutrz w nocy nasze chorążtwo przyjechawszy do domu, a opatrzywszy się, bardzo się ucieszyli, i czule nam dziękowali mówiąc, że gdyby sami się byli wszystkiem zatrudnili, nigdyby nie zdołali popisać się lepiej. Uwiadomił nas chorąży, że król Jmć bardzo był wesół z przyjęcia nieświeżskiego, a chcąc w domu księcia pana dać dowód szacunku swojego całemu naszemu województwu, obu naszych posłów, pana Adama Rzewuskiego, chorążycza wielkiego Litewskiego, i pana Kazimierza Jabłońskiego, wojskiego Nowogrodzkiego, raczył zaszczycić orderem św. Stanisława, oświadczając, że w Snowiu innym obywatelom nagrody rozdawać będzie. Tłumy szlachty przez cały ranek przybywały dla powtórnego powitania najjaśniejszego pana, a przed południem samym urzędnicy nasi przybyli z Nieświeża z doniesieniem, że lada chwila król przyjedzie. Jakoż nie długo czekaliśmy na karetę dworską, z której wysiadł król, ksiązę wojewoda Wileński, JW. wojewoda Nowogrodzki i ksiądz Naruszewicz, pisarz wielki Litewski, a za nimi rozmaite karety, z których wysiadały: infuły, mitry, ordery, krzesła i tak dalej. Gospodarz przyjmując u ganku wysiadającego króla, padł mu do nóg, dziękując za zaszczyt przyniesiony jego domowi, i my wszyscy klękli. Jak ojciec przez

wiernych poddanych powitany został, i mocno go rozrzewniła czolobitność nasza. Nie obawa to była, ale miłość, a tego słodkiego uczucia tylko dobrzy, ojcowscy króle doświadczyć mogą. Pani chorążyna podała rękę królowi, zaprowadziła go do obszernej sali bawialnej, która w oka mgnieniu się napełniła. Król, kilka chwil zabawiwszy, trochę z obywatelami rozmawiał, chwając uprawę roli w Nowogrodzkim, iż nawet na Rusi piękniejszego zboża nie widział, ale wkrótce kazał się zaprowadzić do komnaty jemu przeznaczonej. Tam poszedł z księdzem Naruszewiczem, by odprawić ekspedycję do Warszawy, a my zebrani na pokojach pomagaliśmy gospodarstwu bawić gości, zwłaszcza tych, co składali orszak królewski, a było dość mężów z Warszawy za królem przybyłych. Odznaczali się jego czterej szambelani, nieodstępni od jego osoby przez całą podróż; ci byli: pan Trembecki sławny wierszopis, już wieku dojrzałego, a tamci trzej młodzi byli, pan Szydłowski, wojewódzic Połocki, pan Grocholski, kasztelanic Braclawski i pan Morykoni, nasz Litwin, bo chociaż jego przodkowie wyszli aż z Łukiezkiej ziemi, gdzieś tam z pod Rzymu, ale on był osiadłym obywatelem w Wileńskim województwie, a nawet został niedługo potem starostą Wiłkomierskim. Młodzi to byli panicze, po

niemiecku się nosili, i pudrowali czupryny. Ale jak uważałem przysłuchując się ich dyskursom, dobrze z polskimi rzeczami byli obeznani. Bo kiedy się zgadało o odmianach, co je w rządzie naszym uskutecznił sejm 1766 roku, pan Butrymowicz, podstarosta Piński, ośmiodziesięcioletni starzec, mąż wielkiej powagi, temu sejmowi gdy jał przyganiać, iż ścieśnieniem prawa *de Libera Voce*, zniósł przywileje narodu, że to prawo słusznie od przodków naszych było uważane jako *pupilla libertatis*, bo zasłaniało naród od skutków korrupcyi, która w czasach tak zepsutych ogarnąć może większość izby sejmowej; słysząc to, na niego wielu powstało, a szczególnie szambelani królewscy. Pan Szydłowski bardzo gruntownie dowodził, że zerwanie sejmu przy łada materyi zawsze było przeciwne duchowi naszego prawodawstwa, że to było nadużycie niektórych wyrazów Jana Zamoyskiego, że przedtem *in Volumine Legum* śladu nie było tak dziwnego przywileju, upowszechniającego tylko nierząd i intrygi w narodzie, a że nakoniec samowolność nie na tem zależy, aby ulegać większości izby prawodawczej, ale dawać się wiązać przez widziemi się jednej osoby. Pan Butrymowicz, chociaż wielki prawnik, widno że nie lepiej sprawy bronił, bo dość słabe były jego argumenta. Zgadało się także o potrzebie egzekucyi dekretów: nasz poseł, pan Rzewuski, z wielką wymową powstał na nadużycia sta-

rostów, którzy w Warszawie przesiadują, a przecie bez ich podpisu grodzkich sądów wyroki egzekucyi nie mają; i swoje rozumowania zakończył, mówiąc:— Sam, skorzystawszy z tego nieładu, mam prawo o nim mówić; wyobraźcie sobie, panowie, że pan Turkuł, łowczy Braclawski, zyskał na mnie w grodzie Kijowskim dekret, nakazujący zapłacić mu sześćdziesiąt tysięcy. Prosiłem go o umiarkowanie, żeby przynajmniej rozłożył wypłatę na dwa terminy; ale zaufany w dekrecie tak się okazał twardym, że ani mówić sobie nie dał o układach. Udał się do Warszawy, gdzie mieszkał książę Lubomirski wojewoda, a razem starosta Kijowski, człowiek umysłu nieprzytomnego, i tylko kobietami zatrudniony; otóż tam mój umocowany wszedł w układ z jego faworytą, iż codzień będzie im płacić po jednym czerwonym złotym, aż pokąd książę podpisze dekret zwykłą formą.

Rozumie się, że ta jejmość nie dopuściła księciu takowy podpis zrobić, by nie stracić akcydensu; tak, że pan Turkuł, nie mogąc się doczekać egzekucyi swojego dekretu, przecie zmiękczał, i zenną wszedł w układy. Na przyszłym sejmie da Bóg doczekać, jeśli będę posłem, wniosę: aby odjąć starostom ten przywilej, tak uciążliwy dla szlachty, i domagać się będę, aby nadać sądom grodzkim moc egzekucyi dekretów, jako ją mają ziemstwa.

— I w samej rzeczy, w Grodnie na sejmie 1784 roku na wniesienie tegoż pana Rzewuskiego, posła wówczas Wołyńskiego, prawo o egzekucyi dekretów jednomyślnie uchwalone zostało. Tak tedy o publicznych rzeczach wszyscy byli zajęci mową i słuchaniem; gdy król wrócił na pokoje z księdzem pisarzem, i kiedy zgromadzeni poddani cieszyli się oglądaniem pana, gospodarz odezwał się, trafiając w ich myśl, o uszczęśliwieniu województwa tą pierwszą a tak długo oczekiwaną bytnością króla na Litwie; ale król przerwał z żywością: — Mości panie chorąży Nowogrodzki; jak widzę masz nas za obcego. Wszakemy rodowitym Litwinem, urodziliśmy się i Chrzest Święty przyjęliśmy w Wołożynie, a będąc w stanie rycerskim, sprawowaliśmy urząd stolnika Litewskiego. Nawet byliśmy w Lidzie na sejmiku, na którym utrzymaliśmy na poselstwie teraz tu obecnego waszego godnego wojewodę. Mości wojewodo Nowogrodzki, przyświadcz nam, żeśmy wtedy szczerze wam dopisali. — Skłonił się J.W. Niesiołowski, dziękując za łaskawą pamięć najjaśniejszego pana, a ksiądz Kunciewicz sufragan Nowogrodzki, sędziwy starzec, ale wielce lubiący gawędzić, wmięszał się do dyskursu: — Pozwól, najjaśniejszy panie, przypomnieć pewną okoliczność jednego pobytu waszej królewskiej mości na Litwie. To było w Wilnie, za księcia bi-

skupa Pocięja. Już byłem rektorem w kolegium św. Kazimierza, a J.W. pisarz wielki Litewski tylko co został profesorem; jeszcze wtedy ani myślano o kasacie. Dano przeto wiedzieć księciu biskupowi, że na ponarskiej puszczy lud tajemnie się zbiera, dla odbywania jakichś zadawniałych obrzędów pogańskich, i że tam stoi dąb poświęcony, ogromnej grubości, przed którym lud klęka, pokłony bije i ofiary pali. Już jego poprzednik bywał o tem uwiadomiony, i dał był rozkaz, by ten dąb zwalono i spalono, ale było mniemanie, iż jak kto toporem po dębie uderzy, sam siebie zetnie; ztąd prostota myślała, że to Bóg swój dąb broni a inni wnosili, że być może, iż dyabeł ludzi omamiał, dość, że nikt się nie odważył na ten dąb się porwać i rozkaz dopełnionym nie został, a zabobony jak trwały tak trwały. Otóż księżę Pocięj, równie świątły jak gorliwy, że tak na pedogrę cierpiał, iż od dwóch lat z łóżka nie wstawał, nie mógł osobiście zjechać do ponarskiej puszczy, ale wysłał tam komisję, a na jej czele nieboszczyka księdza Jurałę, officyała Wileńskiego, i mnie tam wysłano z ojcami jezuitami; był z nami i ksiądz Naruszewicz, tu obecny a ten mi kłamstwo zada, jeśli zmyślam. Siła była Dominikanów, Bernardynów i innych zakonników, nie licząc świeckich; dość, że omal całe duchowieństwo wileńskie nie zje-

chało się; kto z rozkazu, kto z ciekawości, a do nich mnóstwo panów i szlachty się przyłączyło. Przybyliśmy tedy w las, a już z całej okolicy spędzono prostaczków, ile tylko ich można było nagromadzić. Dopiero ksiądz miał naukę do narodu, w której go przekonywał, że to bałwochwalstwo porzucić trzeba, a przestać naszego Zbawiciela krzyżować, gardząc nauką Jego Kościoła, aby chodzić za baśniami i czartowskimi wymysłami, a po skończonem nabożeństwie, kazał ów dąb zwalić, ale żaden prostak nie chciał mu być posłusznym. — A co to — prawi jeden po drugim — mam sobie samemu być wrogiem, niech księża sami poprobuja go ścinać; nie trzeba zaś zapomnieć o tem, że wielu było świeckich mężów. Ksiądz Juraha mówi JW. Chlebowiczowi kasztelanowi Wileńskiemu: — Jako wysoki senator, daj panie z siebie przykład, którym lud oświecisz — a pan kasztelan odpowiedział, pokazując na JO. księcia Radziwiłła, hetmana wielkiego Litewskiego, który był razem wojewodą Wileńskim: — Oto jest pierwszy senator naszej prowincyi; strzeż mię Boże, abym przywłaszczył sobie pierwszeństwo. — Ale ksiązę hetman: — Rybenko, przyzwóciej aby stan duchowny zaczynał, a my potem. — Tu ksiądz Juraha: — Tobo było przeciwko powadze stanu duchownego, toporem machać. — Tak wszyscy stanęliśmy jak wry-

ci, tylko się na siebie oglądamy, bo choć wiara była wielka, każdy myśli sobie: *a nuż czort omami!* kto siebie pewny, kiedy on na *Sanctus Sanctorum* odważył się porwać? Świeccy jeszcze więcej zwątpili o sobie. Pięknaby się rzecz zrobił! tu uczył naród, aby w takie zabobony nie wierzył, a tu sami nauczyciele tak się polekali, iż żaden odważyć się nie może na to, przeciwko czemu piorunuje. Aż jeden pan młodziechny, po zagranicznemu odziany, ale dziwnej urody, podobniejszy do anioła niż do człowieka, widząc te korowody, porywa topór i śmiało nim po dębie raz, drugi i trzeci zacina; dopiero jak zobaczył lud, że jemu nic, za nim z toporami tak żwawo, że dębisko duchem zwalone, runęło z hukiem o ziemię. My ciekawi, co to za pan tak odważny i piękny: dowiadujemy się, że to pan kasztelan Krakowski, dzisiejszy nasz pomazaniec, który zaszczyca nas swoim majestatem, a który daj Boże, aby nad naszymi prawnukami panował, jak teraz nad nami szczęśliwie panuje. Tak ledwo z dzieciństwa wyszedłszy, nasz wielki monarcha uzupełnił dzieło Władysława Jagiełły: tamten w pogańskich narodach prawdziwą wiarę zaszczerpił, a ten ostatnie szczątki bałwochwalstwa zniszczył; Pan Bóg mu to nagrodił, powierzając mu panowanie nad ludem, którego śmielszy od nas wszystkich na drogę zbawienia naprowadził. — Po-

dobalo się bardzo królowi to zaszczytne wspomnienie jego pierwszej młodości, tem więcej, że w tem zgromadzeniu było kilku tego naocznych świadków, a wielu z nas o tem wiedziało, ale tylko jak o słyszanej rzeczy. Pan Trembecki zaczął trochę przesładować księdza pisarza wielkiego Litewskiego, że z siebie przykładu nie dał, ale ów JW. ksiądz się tłumaczył: — Co to waćpan myślisz? że u nas w zakonie, jak między szlachtą, gdzie każdy starszy? U nas wara młodzikowi, coby się w czemkolwiek wyrwał przed swoim przełożonym. Nieprawdaż, mości sufraganie, że będąc rektorem byłbyś mnie w ciupie zaparł, gdybym bez rozkazu jał się siekiery? A nakoniec sameś napisał, mości szambelanie, o naszym pomazańcu:

Że raczył nam powszechne światło rozpro-
[dzić,

I myśleć nas nauczył i po trzeźwu radzić.

Wszystko idzie *ad Caesaris exemplum*. Za Sasów byliśmy pijaki, tchórze i ciemni; teraz jesteśmy trzeźwi, mężni i światli. Onegdaj my starzy w szkole Nowogrodzkiej przekonać się mogliśmy, że dziś dzieci więcej mają nauki, niż za naszych czasów

wysokie urzędniki. — To młodzieży się podobało, ale starzy trochę czoła namarszczyli; jeno, że król, spostrzegłszy się, wnet temu dał inny obrót: — Byliśmy tak szczęśliwi — rzekł — obejmując rządy powierzone nam od Boga, iż znaleźliśmy wielu starych, którzy uskuteczнили nasze zamiary względem rozpowszechnienia nauk między młodzieżą. Bo bez pomocy tych weteranów, o których widno, że żartując tak lekko wspomniałeś, mości księżę pisarzu Litewski, na nicby się nie przydały starania nasze. — A temi słowy król mocno uradował całą naszą publiczność. Potem pani chorążyna zaprosiła króla, by raczył pozwolić sobie służyć obiadem w stodole, przepraszając, iż nie mają sali tak obszernej, w którejby mogli umieścić liczne obywatelstwo, łaknące dzielić gody królewskie. — Król odpowiedział uprzejmie, że najwłaściwiej króla rolniczego narodu w stodole nakarmić; i podawszy rękę gospodyni domu, z nią poszedł na gumno. Gdyśmy za przykładem i pozwoleniem najjaśniejszego pana zasiedli za stołem, zwrócił uwagę królewską przy nim stojący na ogromnym półmisku z ciasta i cukru misternie zrobiony wizerunek Piasta, siedzącego na wozie dwoma wołami ciągnionym, a nalożonym kołami, któremu u wrót Kruszwicy wojewodowie koronę i berło przynoszą. Ta cudna robota, która długo się jeszcze potem chowała w Swo-

wiu, była dziełem wędrownego snycerza Niemca, który właśnie jakby z rozporządzenia Boskiego natenczas w kościele ojców Dominikanów Nowogrodzkich różne ozdoby kościelne kształcił i złocił. A że, jako Niemiec, do wszystkiego był zręczny, kazał przeto pan chorąży nam go zabrać z sobą do Snowia, dzie przez dwa dni niespełna tak się nam popisał, że mu pan chorąży po odjeździe króla dwadzieścia pięć czerwonych złotych z dobrego serca dał nagrody. Z powodu tegoż wizerunku, zaczęto rozprawiać: czy też w istocie tak było, czyli to tylko wymysł dziejopisarza? Jedni dowodzili rzetelności tego wypadku, drudzy, a między niemi szczególnie pan szambelan Trembecki, uważał to być allegoryą. Rozpierali się, jak to zwykle pomiędzy uczonymi, aż król się odezwał: — Zmiłujcie się, nie odbierajcie nam naszego Piasta; niech on nam służy na zawsze za dowód, że w zacnym narodzie prosty kołodziej cnotami swojemi może dostąpić najwyższej władzy. — Jeszcze się wtenczas doskonale udało panu chorążemu, stojącemu jako gospodarz za krzesłem królewskim: — Najjaśniejszy panie — powiedział — wasza królewska mość jest dla nas zupełnym Piastem, nawet kołodziejem jak on, bo toczysz koło fortuny Polskiej i Litewskiej. — Co król mu odwdzieczył miłym uśmiechem. Potem król zaczął po francusku rozmawiać

z panią chorążyną. Zaczęła się animować kompania za hasłem przez gospodarza danem, który ogromnym kielichem spełnił zdrowie jego królewskiej mości w ręce JW. Niesiołowskiego, wojewody naszego. A potem kielich puścił się na wędrowkę między nami; przy tem zdrowiu śpiewano wiersze na przedce ułożone przez pana chorążycza Litewskiego, naszego posła, a brata rodzonego gospodyni domu. Król małym kieliszkiem pił zdrowie gospodarstwa i szlachty, ale widno było, że to mu nie służyło, i choć w małej ilości, nie pijał bez widocznego wstrętu; ale my szlachta, rozrzewniona jego bytnością, pozwoliliśmy sobie, że przez cały czas obiadu zabawa była dość animowana. I panowie z królem przybyli, chociaż do Warszawy nawykli, niezgorzej nam dopisali, a szczególnie ksiądz Naruszewicz, pisarz Litewski, który pił, że aż miło. Jednak jakieś było umiarkowanie, bo pan chorąży wstrzymywał nasz popęd, gdyż król miał po obiedzie rozdawać urzędy. Trzeba więc było gospodarzowi być trzeźwym, bo jako zastępującemu miejsce podkomorzego, wypadało jemu mówić z królem o wakansach i przekładać mu życzenia obywatelskie. Jakoż po obiedzie król, wezwawszy JW. wojewodę i kasztelana Nowogrodzkich i pana chorążego Rdułtowskiego do swojej komnaty, konferował z nimi o nagrodach zasłużonym obywatelom

i o rozdaniu wakansowych urzędów tym, co opinie publicznej mieli za sobą. Po skończonej konferencyi wróciwszy na pokoje, gdzie my zebrani z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy ich przybycia; król jegomość kazał księdzu Naruszewiczowi ogłosić nazwiska łaskobierców. Orderem orła białego zaszczytzeni wtedy zostali: JW. Gedeon Jeleński kasztelan, i ksiądz Kuncewicz biskup adnuntański, sufragan Nowogrodzki. A św. Stanisława: pan chorąży gospodarz domu, pan Obuchowicz podwojewódzcy i pan Rewieński, prezydent sądów ziemskich. Pan Siemiradzki, który przed rokiem złożył nasze stolnikowstwo *in favore* pana Hipolita Korsaka, otrzymał urząd sędziego wojskowego. Wakujące strażnikowstwo i mostownicowstwo Nowogrodzkie dostali: pan Celestyn Czeczot i pan Józef Barzobohaty; także kilka starostw król naszym rozdał, i nieco urzędów egzotycznych. W tym hojnym wylewie szczodroty najjaśniejszego pana, i mnie jego łaska nie ominęła; dostało mi się cześnikowstwo Parnawskie. A sposób, w jakim król te godności rozdawał, był nam wdzięczniejszy jeszcze, niż one same. Bo każdemu świeżo zaszczyconemu umiał coś obowiązującego powiedzieć. Gdy przyszło do mnie: — Mości cześniku Parnawski — rzekł — zawsze się staramy zasłużonym obywatelom podawać coraz obszerniejsze pole do dalszych ich zasług; wiemy,

że długo byłeś nam przeciwny, ani wam to za winę przypisujemy, boś szedł za swoim przekonaniem. Spodziewamy się atoli, iż odtąd jedna tylko opinia nie dopuści żadnych domowych rozterek w naszej Rzeczypospolitej, i że z równą wiernością będziesz służył królowi ściśle zjednoczonemu z całkowitym narodem, jakęś służył tej części, która niefortunnie okolicznościami od niego się była odłączyła. Tuszym, że mieć zawsze będziemy w wacpanu wiernego sługę i przyjaciela. — Klęknąłem natychmiast przed królem i u nóg jego odnowiłem przysięgę wierności, co ją aż do samego końca dochowałem jemu. I nie tylko ja, ale wszyscy obdarzeni równym zapalem przysięgali mu wiarę. Taką miłością zapaliliśmy się do naszego pana, że byliśmy jak w gorączce; żaden z nas nie umiałby dokładnie przypomnieć sobie, cośmy wyrabiali. To tylko pamiętam, że ustawicznie padaliśmy do nóg, płakaliśmy i śpiewali naprzemian, a pili, co się wlało. Choć król okazywał, iż był rad tym naszym wynurzeniom, pewny jestem, żeśmy się naprzykrzyli jemu, bośmy chwili mu wolnej nie zostawili: co jeden kończy to drugi zaczyna, a gospodarz tylko chodzi od jednego do drugiego i przekłada, że król nazajutrz z rana musi jechać, że podróżą i pracą zmęczony, że wczasu mu potrzeba. Na siłę my się przekonąć dali, a tak, zebrawszy

się w oficynie, żeby hałas nie dokuczał królowi, całą noc piliśmy; że kiedy z rana król wsiadał do karety, zastał nas przed gankiem na nogach, lubo dobrze chwiejących się. Dopiero znowu nowe śpiewy i klęknięcia przy pożegnaniu i prośby, by nam dał ojcowskie błogosławieństwo, któreśmy zanieśli żonom i dzieciom naszym. A większa część naszych, choć ledwo na nogach się trzymała przez wino i niewczas, króla konno odprowadziła aż do granicy naszego województwa. Ale kiedy po odbyciu wszystkiego wróciłem do Doktorowicz, co to była za radość żony i czeladki! Zsiadając z bryki, pierwsze moje słowa do żonki, która na przyjęcie moje wybiegła, były: — Żonko! dziękuj Bogu, że nam nadspodziewanie poszczęścił. Był już z jego łaski majątek i dziatwa, urzędu tylko nie dostawało, aż król jegomość raczył nas i urzędem zaszczyścić. Mościa cześnikowo Parnawska! pocałujże swojego męża. — Co powiadasz, mój kochanku? — Tak, tak, moja Magdusiu. Pamiętasz, jakieś mocno uczuła roku zeszłego, że nasza sąsiadka pani Rajska miecznikowa napisała do ciebie: — „Mnie wielce Mościwa Pani i kochanko sestro!“ Rzewnemi łzami płakałaś przedemną, skarżąc się na jej niegrzeczność. A jam ci powiedział; choć pani miecznikowa mogłaby spuścić ze swego prawa, by niemnie upokarzać sąsiadki; przeczyć jej tego prawa nie

można, bo ona urzędniczka, a ty po prostu szlachcianka. Ledwom cię ukoił, toś przez cały rok ofiarowała Boskiej Opatrzności poniedziałki suszyć, byś także została urzędniczką. Widzisz, że kto z Bogiem, Bóg z nim — i my teraz z Jego łaski jesteśmy wielmożni. — Ach mój Sewerynku, pozwól niechno wyprawię forysia do pani miecznikowej z doniesieniem o naszym szczęściu, które listownie jej oznajmię, jako sąsiadce łaskawej. — Dobrze, moja Magdusiu, pisz; niech wszyscy wiedzą, że my na ludzi wyszli. — Moja Magdusią do siebie nie mogła przyjść z radości; a ja, patrząc na tę jej radość, więcej czułem moje szczęście, niż kiedyś je otrzymał w Snowiu z rąk najjaśniejszego pana. A w domu, z jaką pocięchą cała moja czeładka i wiejska gromada przybyli do mnie z powinszowaniem! Pięćdziesiąt kwart gorzałki dałem gromadzie, aby na moim dziedzińcu radowała się z nami, a mój stary dyspozytor Pękalski, który mojego dobra gorliwiej niż własnego pilnował, którego synów moim kosztem w szkołach utrzymywałem, do łez mnie rozczulił, bo jak mu Magdusia oznajmiła, że cześnikiem zostałem, powiedział mi: — Pani! już teraz spokojnie umrzeć mogę, kiedy doczekałem, że zasługi pańskie nie poszły marnie. — Ledwo nie przez cały kwartał zjeżdżali się do mnie sąsiedzi, by mi winszować zaszczytu, i niemało ko-

sztu ta ich życzliwość nam przyczyniła. Aleśmy tego nie żalowali, i Magdusia, choć skrzętna gospodyni, tak była ucieszona swoim znaczeniem, że na żadne wydatki dłoni nie ścisłała.

XX.

Stanisław Rzewuski.

Zagraniczni ludzie, jakem słyszał, mówią o nas że jesteśmy lekkomyślni, że żadna tajemnica między nami się nie uchowa, i że dla naszego wielomówstwa nic się nam nie powodziło. W każdej bajce jest prawdy połowa, ale połowa tylko; całkowicie wierzyć nie trzeba. Rzecz pewna, że towarzyskość naszych obyczajów na wielkie niebezpieczeństwo naraża języki nasze, bo po prawdzie powiedziawszy, gawędka jest nam całą rozrywką w chwilach wolnych

od zatrudnień. Szlachcic zajmuje się gospodarką, bo taki Pan Bóg przykazał, aby o dzieciach pamiętać, by nie chodziły bez obuwia; ale jak się namozoli, natupta, nabieduje, czemże się rozerwać? Czytać? nie każdemu mieć biblioteki, a chociaż i znajdzie się jaka książka, czytać to i rozrywka i trud razem, a człowiek czasem wprost czystej rozrywki potrzebuje. Ogród? to pańska rzecz, nie szlachcicowi w tem się kochać. Cóż tedy robić? Byłem razu jednego na Szlązku, kiedyś to mnie wzięła ochota poprobować, czy się nie uda zarobić na wołach, jakoż nie straciło się, bo i koszt podróży się wrócił, i coś się wywiozło dla oporządzenia domku. Żonie w gościńcu się dostało kilka niemieckich fraszek, i z siakim takim procentem grosz tam wrócił, z kąd wyszedł; ale to nie warto podjętych za tem mozolów. A człowiek rad, że wyszedł na swoim, i trochę świata obaczył; przestał na tem, i drugi raz nie chwycił się tak niepokojnego chleba. Otóż w Namysłowie, na kiermaszu, poznałem się z jednym tamecznych stron możliwym obywatelem, który mnie widząc w kontuszu, sam szukał ze mną znajomości, a to z powodu, iż przepią swoją z Polski prowadząc, rad był się dowiedzieć o imiennikach w niej pozostałych. Na moje i jego szczęście mogłem mu dać objaśnienie, jakiego. żądał, bo on się nazywał Kobyliński, a dom ten w Nowogrodzkiem osiadły, był mi dobrze znajomy

Nawet z W. skarbnym Kobylińskim miałem ściśle stosunki, od tego czasu kiedy to jeszcze kratak pilnowałem, a nawet i swojactwo przez moją żonę. To wszystko opowiedziałem. Ten tamecznych stron pan Kobyliński mówił po polsku zwyczajnie jak Szlązak, ale po łacinie jak się należy. Ucieszył się, iż jego krwi dobrze na Litwie się powodziło, i zaprosił mnie do swojego zamku pod samym Namysłowem. Ja mu służyłem, raz że sama grzeczność nie pozwalała odmówić, a powtóre byłem rad odpocząć, tem więcej, że koniaki mi się pochorowały. Lubo jego gościnność nie była zupełnie taka jak u nas, co to gospodarz ledwo sam siebie nie usmaży, aby gościowi dogodzić; nie mogę się jednak skarżyć, iżby wedle jego obyczajów na pół zniemczałych, bo taki podobno już był złutrzał, nie był dla mnie wylanym. Oprowadzał on mnie po swoim gospodarstwie i znał się na niem. Podobalo mi się, że dawna polska natura ich nie opuszcza; pilnuje roli, nie tak jak zupełnie Niemcy, co ziemię zadzierżawiają, a sami w kamienicach mieszkają rynku pilnując, jak zwyczajnie Niemcy. I tak więcej tygodnia u niego bawiłem. Jeszcze to widząc mnie porządnie odzianym, z pasem litym, a szcycąc się iż z polskiej krwi pochodzi, wymówił się, z wielką jednak delikatnością, że mój ubiór bardzo mu się podobał, i że radby go nabyć, aby to mieć na pamiątkę swojej procedencyi; mnie ruszyła ambicya, żem nie

tandetnik odzieniem handlować, i prosiłem go, aby raczył odemnie przyjąć ofiarę z mojego ubioru, gdyż do domu wracając nowych znajomości robić nie myślę, a tylko o takie dwory kołem zaczepić, w których mi będą radzi, choćbym w opończy sierakowej się stawił. Jakoż nazajutrz zrana, przepraszając iż mu attencyę moję oddaję w kapocie, wręczyłem mu co tylko dnia poprzedzającego miałem na sobie. I chociaż pas słucki do tysiąca złotych mnie kosztował, rad byłem go przekonać, że kiedy potrzeba, my się nie rachujemy, i że jego chleba darmo nie jadłem. A lubo z mojej strony to była ofiara, więc nie bez jakiejś przykrości, takem go widział uradowanym z mojego upominku, że ażem się ucieszył z myśli przysłużenia się jemu. Że był podobnej mnie tuszy, zaraz chciał się po polsku ubrać, do czego mu pomogłem i wyuczyłem jego służbę, jak pas ma jemu zawiązywać; dość, że cały ten dzień chodził w mundurze województwa Nowogrodzkiego, jakby nasz obywatel, chociaż u Niemców był baronem. Ale tego samego dnia oprowadzając mnie po swoim gospodarstwie, a zaszedłszy do obory, która jakby jaki pałac wyglądała, wybrał dwanaście najpiękniejszych krów i buhaja, prosząc mnie, bym to przyjął na pamiątkę. Ja mu się wymawiał, że nie w pretensyi żadnego obdarowania odstąpiłem mu moję starzyznę; ale on mnie tłumaczył, że jako od kolidata jego krwi, nie wahał się przyjąć co mu tyle

jest szacownem, że więc sama słuszość każe mnie uprzejmie przyjąć, co mi z dobrego serca ofiaruje. Jakoż przekonał mnie, iż nie było na swoim miejscu upokarzać go, okazując się zbyt twardym. Czule podziękowawszy, z mojami ludźmi odesłałem bydelko mojej Magdusi, która i kochała się w bydle, i na niem się znała. A sam jeszcze dni kilka zostałem, póki konował przy zamku mieszkający zupełnie nie wyleczył mi koni. Otóż więcej tygodnia bawiąc w zamku okazałym, u tak możnego obywatela, oprócz domowników, żywego ducha nie widziałem, chociaż sąsiadów miał mnóstwo, bo tam magnat chyba ma tyle ziemi ile u nas zamożny szlachcic. To mnie mocno zdziwiło. Jak można, pomyślałem sobie, takowe życie prowadzić? wszystko mieć do przyjęcia ludzi, a nie żyć z niemi. U nasby obywatel zwędził się z nudy, a on się nie nudził. Miał on wielką bibliotekę, ledwo nie tak obszerną jak JW. podkanclerzego Chreptowicza w Szczorcach, a prócz tego zbiory różnego gatunku. To jakieś kwiatki zasuszone w papierach, to robaczki szpileczkami przekłute, to muszle rozmaitego kształtu, to kruszce, wszystkie jakie tylko są na świecie, a których nazwiska tak recytuje, jakby litanię do Najświętszej Panny, że ani się zatnie, choć tego mnóstwo, bo on to wszystko mi pokazywał i tłómaczył. Więc kiedy się napracuje, że już mu rozrywki potrzeba, to swoje drobiazgi przeziera, prze-

czyszcza, przekłada, i tak mu czas schodzi; a jak mi mówił, każdy prawie u nich możny obywatel ma podobne rzeczy i niemi się bawi, że mu gawędy nie potrzeba, aby czas schodził. My szlachta podobnych rupieci u siebie nie mamy, ni się znamy na nich, a cała nasza zabawa z ludźmi obcować. Kiedy który z nas dorobi się, że aż przyjdzie do własnej wioszczyzny, jako zwykle, w niej dworu nie zastaje; zaraz go stawia nad folwarkiem, ale tak, żeby z okna na gości-niec mógł patrzeć, by wyglądać, czy kto nie łaskaw nawiedzić; to kiedy spostrzega, że zdaleka kurz się podnosi, ledwie serce nie wyskoczy z radości, że ktoś raczy może zawitać. A kiedy nadzieja nie zawiedzie, to dopiero szczęście; przyjmuje się łaskawcę, oprowadza się go wszędzie, pokazuje się mu stajnia, popisuje się przed nim swoją pracą, wypije się z nim, a nagawędzi się, że ledwo się nie rozbeczy przy pożegnaniu. Kiedy dusza się wylewa, trudno żeby czasem co i nie wymówiło się, bo serce do ust gwałtem się przedziera. Ale było na to lekarstwo, aby jaka ważna rzecz się nie wypsnęła: za dawnych czasów, kiedy się któremu z nas co powierzało *ex publicis*, wymagano zaraz przysięgi na dochowanie tajemnicy. A jak kto się związał przysięgą, to choć mu język zaświerzbi, zaraz mu staje przed oczyma straszny Sąd Boży, a gdy człowiek zastanowi się, jak tam i piecze i kole, tak mu zaraz język świerzbić przestaje. Kje-

dy się w Częstochowie ukartowało, aby króla Ponia-towskiego porwać z Warszawy, co potem pan pułkownik Łukawski gardłem przyplacił, więcej trzechset nas było w zмовie, ale żeśmy przysięgli sobie wzajemne milczenie, tak się ono dochowało. że aż dotąd nawet całkowity ten wypadek tajemnicą jest pokryty. Panom Łukawskiemu i Strawińskiemu życie obiecano, jeżeliby wydali, kto ich namawiał i do tego należał; woleli być straconemi, niż kogokolwiek po-ciągnąć, bo przysięga nie fraszka. Wszystko to dawno minęło, już i to wszystko dla czego się robiło, przeżyliśmy; a przecie pomimo tylu, którzy w to wcho-dzili, nie się dotąd nie objaśniło, bo co piszą o tem ludzie, to tylko same są domysły. Teraz ostatnim będąc z żyjących, co do tego należałem, napiszę z ką-d wyszła pierwsza myśl tego, a może kiedyś i cały wy-padek opiszę: raz, że nie mam się czego wstydzic, bo przez to nie ominałem się z obowiązkami obywatela; powtóre, radbym oczyścić pana Kazimierza Puław-skiego, starostę Wareckiego, z najmniejszego podej-rzenia, krzywdę tak znakomitemu mężowi przynoszą-cego.

Po naszej porażce pod Oborną, gdzie pan Szy-c odbił pana Puławskiego, już w rękach Dońców będą-cego, tułaliśmy się w Niepołomieckiej puszczy jakby jacy rozbójnicy. Było nas trochę więcej od tysiąca

niedobitków, ale sama rdzeń konfederacyi Barskiej. Zaszliśmy aż w głąb puszczy, i tam oszańcowawszy się zasiekami, założyliśmy nasz obóz. Porozpalaliśmy ogniska, tak, że szpilki można było zbierać po ziemi, chociaż noc była ciemna. Ale że już to było w późnej jesieni, deszcz, wilgoć, ogień, więc ten ledwo nas dosuszał, a tak byliśmy znużeni, że duch tylko nas pokrzepił, a członki ledwo się ruszały. Nam nie żal było cierpieć; ale mój Boże! serce się krajało, widząc naszych panów, do zbytków i miękkości nawykłych, leżących na błocie. Ksiądz Marek siedział na kłodzie i modlił się z brewiarza przy świetle ogniska, a na drugiej kłodzie siedział pan Kazimierz Puławski zamysłony, i drażkiem dłubał w ognisko, jakby się tem bawił, a jego myśli o sto mil były od niego. Obok księdza Marka na tej samej kłodzie leżał, na wpół na łokciu oparty JW. Rzewuski, chorąży wielki Litewski, jeden z regimentarzów generalnych naszej Barskiej konfederacyi, i stękał, bo rana, co ją był dostał w nogę przy dobytciu Krakowa, dokąd nas prowadził, a która nigdy się zupełnie nie zagoiła, odnowiła mu się była i wielkie mu czuć dawała boleści, rozdrażniona takimi niewygodami. Każdy z nas rad był mu swojego zdrowia ustąpić, bo to był wódz dobry, żołnierz śmiały, a do tego pan z rzadkiem sercem, z wielkim dowcipem i skromnością; a przy nich i inni leżeli i zabierali się do spoczynku. Ksiądz

Marek, widząc JW. chorążego cierpiącego, obwinął mu nogę w swoją oponczę, a sam w habicie tylko siedział; ale to jemu bólu nie zmniejszało, stękał coraz mocniej, a nakoniec się odezwał:—Oj boli! kto w Boga wierzy dobij, bo więcej nie wytrzymam. Księżu Marku! jam patrzył na twoje cuda; zrób, żeby mnie noga nie bolała, większą u Boga mieć będziesz zasługę, niż za swój brewiarz. Poradzić ci nie mogę, panie regimentarzu, wołaj Pana Boga byś cierpiał. — Otoś mnie pocieszył, księżu Marku! A co ja Panu Bogu winien, by się nademną nędznym pastwił?—Nie bluźń, mości chorąży, ani wchodź w Boskierozporządzenia, ale ufaj, że one są zawsze sprawiedliwemi. Oj! gdybyście mogli pojąć jaka jest potęga w cierpieniach, nie tak bylibyście niecierpliwi. Kiedy bydlę się męczy, mnie żal, bo nienagrodzonej doświadcza krzywdy; ale człowiekowi kiedy Pan Bóg cierpienie poseła, daje mu wielki skarb, byle z niego korzystał. Uderz się w piersi, panie regimentarzu, a wyznaj, że chociażżeś godny ze wszzech miar, nie bez tego, byś nie miał coś do przemazania w rachunku twoim z Panem Bogiem. Teraz cierpisz na ciele, a może kiedyś zanadto mu dogadzałeś; twój spowiednik lepiej wie, a coś tylko nabroił, dyabeł natychmiast na swojej karcie zapisał, a jak cierpisz to mu mażesz robotę, że przy śmierci karta będzie biała, i już nigdy cierpieć nie będziesz. Gdybyśmy tu tylko mieli żyć z sobą, na pazurybym brał,

by szanownemu regimentarzowi ulżyć bóle, ale że tu-
szę, iż zawsze będziem z sobą mieszkać tam, gdzie
szczęście niczem się nie przerywa, mniej się o jego
zdrowie frasuję, bo niedługo będziesz mię przypomi-
nać, jak dobrze wyszedłeś na tem, że póki byłeś na
ziemi, pocierpiałeś trochę.

— Oj trochę, nie daj ci Boże takiego trochę, co
go doświadczam, a czego, chwała niech będzie Naj-
wyższemu, nigdy doświadczać nie będziesz, bo ciebie
księżę ni kula ni spisa nie chwyta; sam nieraz wi-
działem, jakieś laźl, gdzie każdemu innemu aż nadto by-
ło łatwo po kościach dostać, a tam byłeś bezpieczny jak
na ambonie. Ja wiem, że za grzechy pokutować trze-
ba, ale czyż koniecznie tak, żeby szynami żelaza roz-
palonego od golenia do pięty pieczono, bo takiego ro-
dzaju jest mój ból. Niechno mi się noga wygoi, a ja
dobrowolną przyjmę pokutę, jakby jaki zakonnik.
Modlitwy, posty, dyscypliny nawet, wszystkiemu się
chętnie poddam. — Tak, tak, każda pokuta się przyj-
mie, oprócz tej, którą Pan Bóg sam poseła; wiesz,
panie chorąży dobrodzieju, że nie pomyślawszy ode-
zwałeś się; bo jak sam wybierzesz pokutę, chociaż
najtwardszą, to jeszcze zadanie: przyjmie ją li Bóg,
lub nie przyjmie? a ta, którą On sam poseła, bez naj-
mniejszej wątpliwości jest dlań miłą. Ale dotąd
mówiłem z tobą, JW. chorąży, jako z chrześcianinem

i człowiekiem: teraz pozwól niech się odezwę do regimentarza generalnego naszej konfederacyi. Kochasz ziomków, służysz im z takim poświęceniem a cierpieć dla nich nie chcesz. — A już to zanadto, księżu Marku; od ciebie pierwszego taki zarzut sły- szę, a nikomu innemu tegobym nie dał sobie powie- dzieć. Ja za swoich cierpieć nie chcę?... ja! a ktoż dla nich odemnie jest większym męczennikiem? a gdy- bym ich chciał odstąpić, czyżbym nie żył w dostat- kach spokojny? Ojciec i brat jęczą w niewoli, od pięciu lat żony nie widzę, dzieci rozproszone po ca- łym świecie, majątek złupiony. A całe moje jakież było życie, odkąd ze szkół wyszedłem? Nastąpiła konfederacya Nieświeżska; ja się biję, ona rozwiąza- na, a ja na banicyę wskazany, tułam się po dżumach na Turczyźnie; wracam do kraju i więzienie w nim znachodzę; Radomska konfederacya mnie uwalnia. Konfederacya Barska się zawiązuje, a ja byłem z pierwszych, co się na nią podpisali, i jak widzisz szósty rok się biję i rany dostaję. Ty księżu, co wszystko wiesz, wiesz i to, ile krwi i łez przelałem dla kraju: czterdziestu lat nie mam, a biedą i zgry- zotami tak zgrzybiałem, że na starca wyglądam. A Bóg świadek, że moje wytrwanie nie z żadnych płonnych nadziei pochodzi, bo znam dobrze, że z tego nic nie będzie; ale co się robi, robi się aby się wywią- zać z tego co działać należy, żeby było czyste nieza-

pruszone oko! Nie żalby cierpieć i nadal choćby za grzechy, których tak wiele jest: ale pozwól na ból popłakać, bo już nim nie z żelaza. — Opuść dla miłości Chrystusa Pana, panie regimentarzu dobrodziej, żem cię obraził mimowolnie, ale ile to mnie pociechy przynosi, żeś się tak obruszył na samo wspomnienie, że nie chcesz cierpieć. Panie regimentarzu! nie wątp o mojem przywiązaniu; żrenicy oka mojego tyle nie miłuję, ile ciebie. W mojej rubryceli wyczytasz imię Stanisława Ferdynanda, bo zawsze za ciebie się modłę, jako za wielu współczesnych, za których powodzenie często Bogu czynię ofiary; a obok tych imion znajdziesz niemniej innych, co już swoje odbyli, a dla których wiecznego odpoczynku błagam; a są tam przytem imiona tych, którzy się jeszcze nie narodzili, a dopiero za lat kilkadziesiąt się pokażą, ale których mi Pan Bóg objawił, żem ich widział jak na mojej dłoni. Co to będą za nadzwyczajni ludzie! a ja zawczasu za nich się modłę, bo im człowiek większy, tem więcej modlitw potrzebuje. Przyznaj, panie chorąży... — tu wpadł ksiądz Marek w zachwycenie, i dwa strumienie łez zaczęły się mu sączyć po jagodach. A my milcząc patrzali tylko na niego, bo coś było w nim takiego, że nie można wątpić, iż on święty człowiek, z Panem Bogiem rozmawiał. Kiedy mówił, my zapominali o dolegliwościach naszych; a nie tylko my cokolwiek okrziesani, ale i prostacz-

kowie nawet, co podzielali nasze trudy, leżąc na przemoczonej ziemi, głowy podnosili by go słuchać, i mówiłby do białego dnia, a żadenby nie zasnął. Skrzeple dopiero członki rzeźwiły się jakąś siłą niewiadomą; radziśmy byli odnawiać boje, by odwetować przegrane.

Po kilkogodzinnym wypoczynku, obóz na nowo przybierał postać ruchu i czynności. Pieśń Bogarodzicy już powitała była nadchodzące zorze, słyszeć się dawały rżenia rozweselające obozy, z troków już były poobdzielane obroki dla wiernych towarzyszy, a kiedy jeździec konia swojego nakarmi, jemu samemu nędza wtedy znośniejsza. *Zowiesz się naszą królową*, śpiewali pancerni, *Bądź nam obroną gotową*, odpowiadali ussarze. A wodzowie siedzący na kłodach na nowo rozmawiali z sobą przy ognisku. Blizko regimentarzów wielu siedziało lub leżało na ziemi, radzi się im przysłuchiwać. Byli tam nasi Litwini: pan Józef Kiersnowski i pan Julian Staniewicz, i pan Korsak porucznik Petyhorców, starzec w boju nieustraszony, a który mnie kochał jakby rodzzonego syna; był pan Szyc, jeden z najlepszych kawalerzystów nawet między nami; i pan Dzierżanowski, smutny, obwinięty w burkę siedząc nieruchawy, bo pod Oborną prawie cały jego pułk został zniszczony, i pan Cyryak Potocki co go tytułowano starostą Żydaczew-

skim, lubo w rok niespełna po wstąpieniu króla Poniatowskiego odsadzili go od niego z powodu, iż on miał sobie to starostwo odstąpione darem od Brühla cześnika koronnego, a że sejm koronacyjny nie przyznał panu Brühlowi szlachectwa, więc i posiadanie starostwa i jego ustępstwo za nieprawę uważano. To do ostatniego stopnia rozdrażniło naprzeciw króla pana Cyryaka, który oprócz tego dawne z nim miał zatargi. Jeszcze to się zaczęło, kiedy za króla Sasę, pan stolnik Poniatowski, będąc posłem Mazowieckim, zerwał sejm dla uciśnienia pana Brühla, na którego dworze był pan Cyryak, a że do wielkiego przywiązania do swego pana łączył dziką odwagę, wyzwiał był na pojedynek pana stolnika, a jego nie doczekawszy plac ostrzelał. Otóż ten pan Cyryak, który był konsyliarzem konfederacyi, lubo więcej w boju niż w radzie popisywał się, broń swoją czyścił, siedząc na ziemi przy kłodzie, na której siedział pan chorąży Rzewuski. I innych kilku było w tem gronie, między którymi wcisnąłem się, by się przysłuchać, co starsi mówią; jakoż ani słówka nie straciłem, i tak to zachowałem w pamięci, że teraz z niej na starość wszystko jak z kłębka wysnuwam. — Patrz, panie Kazimierzu — odezwał się do pana Puławskiego pan Rzewuski, chorąży wielki Litewski, nieco uspokojony ale jednak cierpiący — co to my znosić musimy z łaski tego, co swojego dziada

nie umie nam pokazać, a uroiło mu się panować nad nami, starożytną szlachtą. My tu leżym tam, gdzieby myśliwy poczciwego psa nie położył, a ten pieszczoch wylęga się gdzieś na puchu podobnych jemu panów jego rady, co mu za chleb rzeczypospolitej swoje własne żony zadzierżawiają. A nic łatwiejszego, jak tego babiarza na nasze gody zaprosić. — Dyabła tam, panie Stanisławie; on słyszę w Warszawie tak osaczony, jak obraz cudowny w czasie odpustu. — Nie wierz waćpan temu, panie Kazimierzu, jam wszystko własnymi oczyma namacał; nie jest to lis tak ostrożny, aby go od jadźwiny nie oderznąć, — wszak nie najdawniej byłem w Warszawie. — Ale, ale! dobrze że o tem wspominasz! Dotąd ci nie wypadło zemną mówić o tej twojej podróży; teraz ku temu pora, opowiedz panie regimentarzu, jakieś ją odbył i jak tam było? — Wszak wiesz, panie Kazimierzu, że najstarszy mój syn w konwikcie u Jezuitów. Otóż stojąc pod Kozienicami, nimeś przybył nad nami objąć dowództwo, byliśmy w zupełnej nieczynności; ja się bić chciałem, i oto się spierałem z panem Zarembą, ale ten mnie pokazał wyraźny rozkaz od generalności, by nic nie zaczynać, pokąd generał Demulier przybędzie; jegośmy nie doczekali; a tylko czasu nakwasili. Razu więc jednego przyśniło mi się, że mój chłopiec obłożnie zachorzał: takim się nafrasował, że bądź co bądź, postanowiłem

sobie go nawiedzić. Przebrałem się w starą opon-
czę, jako szlachcic z zagrody, o służbę starający się,
i puściłem się samopas piechotą do Grójca. Tam
zaszedłem na przedmieście do czynszowego szlachcica
prosząc go, by dla miłości Pana Boga na noc mnie
przyjął. Gospodarz gościnny, chociaż ubogi, był
mnie rad, i lubo nieznanomego, gorzałeczką poczęsto-
wał, prażuchami nakarmił i pozwolił mi przespać się
w swojej izbie na słomie. A jakkolwiek sześć mil go-
ścińca piętami nabiwszy w jednym dniu, uczułem, że
jego przyjęcie było mi lepsze nad wszystkie biesiady
nieświeżskie. Ale nimeśmy się spać pokładli, bawi-
liśmy się jeszcze gorzałeczką i gawędką, bo szlachcic
co i po klasztorach kiedyś sługiwał i lat kilka fur-
manką się bawił, miał o czem mówić. Wymówił się
jakoś, że skoro świtać zacznie, on z żoną i z podkar-
mionemi gęsiami na fernalce parokonnej puści się do
Warszawy. A ja mu przerywając: — Ach! tatku,
ach dobrodzieju, zabierz mnie z sobą, azaliż przy-
waćpana szczęściu służby tam nie znajdę dla siebie. —
Panie bracie — odpowiedział szlachcic — to nie la-
da sprawa: moje chabety mizerne, a jak na furę trzy
kojce pełne nałożę, a do tego moję babę, co ją, jak
widzisz, mospanie porządne mi połciami Bóg opatrzył,
to ja całą drogę piechotą iść muszę, bo i bezemnie
tego nadto, że aż konie noga za nogą wloką towar.
A gdzie waści umieszczę? Jabym rad dogodzić, ale

jest nad czem głowę sobie podrapać, jakby to zrobić, żeby i wilk syty i koza była cała. — Poczciwą miał twarz stary, że można było mu się powierzyć; i miałem pokusę dobyć z zanadrza parę złotych brzęczączek, aby żydka z końmi najął dla mnie aż po pod Warszawę, ale wstrzymałem się, bo taki dyabeł nie śpi; a coś imość przebąkiwała, że król przez Grójec przejeżdżał, że jej chłopca głąskał, że bardzo król piękny, i że nie pojmuje czego od niego chcą konfederaci. Wszak wiesz, panie Kazimierzu, że wszystkie baby za niego duszęby oddały. O przebrzydła potępienico! pomyśliłem sobie, tu trzeba być ostrożnym, bo chociaż gospodarz lepiej o nas trzymał, jakóż był nawet ofuknął żonę, mówiąc: — Co waćpani znasz? To nie gęsi karmić! Gdyby tam było nic potem, pan Załuski starosta Grójecki, z którego łąski grzędy kopiem, do tegoby nie należał. — Ale pomimo tego widać było, że go imość osiodłała, więc nie chciałem wpaść w podejrzenie po pańsku występując; bezpieczniej było chudopacholstwa się trzymać. — Panie ojczy — odezwałem się — jeżeli waćpana łąska, łatwa rada: imość z kojcami na fornalce, a ja z waćpanem piechotą przy koniach. — Toćby to było niezłe, ale moją imość znają u rogatek, bo co dwie niedziel po pod niemi przewozi drób', albo

zemną albo z sąsiadem; ale jak dwóch obaczą przy koniach co nigdy nie bywało, żeby nie wpaść w podejrzenie, bo teraz czas niespokojny, — a jak zatrzymają, żeby opytać: z kąd? dokąd? i po co? bo to wszystko teraz bywa. Żeby to waszeć miał i o czym czas tracić, toby parę dni tłómaczyć się o swoim chlebie nie byłoby wielkie święto, bo na waszeci czapka nie gore; ale jak uważam, panie bracie, nie wiele musisz mieć grosiwa przy duszy, niech cię to nie obraża, bo z tem się nie taisy, że szukasz kawałka chleba przy opończy nie najnowszej. A i my niewiele od waszeci bogatsi: nie swoim ale kupnem ziarnem drób karmin, bo całe nasze gospodarstwo ogród, a cały majątek dwa podjezdki. Zestarzeliśmy się z żoną krwawo pracując, a nie możemy przyjsć do cynowego naczynia, jak to po szlachcie bywa, ale na glinie z drewnianych łyżek jemy jak chłopi. Co mamy się taić? wszak to widzisz! Czy się co zarobi, czy straci, nie pytają, a co roku i czynsz trzeba zapłacić, i dyrektorowi, co chłopców uczy, żeby kiedyś na ludzi wyszli, a Bóg świadek, że szczerze chcę waszeci się przysłużyć.

Potem naradzał się ze swoją żoną w alkierzyku, a jak się pokazało, że kobieta, choć za Poniatowskim obstawała, niezgorsze miała serce, bo prędko konferencyę skończywszy, wrócił gospodarz do izby i powiedział mi:—Ciesz się, panie bracie, będziesz w War-

szawie jutro; ja choćbym tam rad być, trzeba mi w chałupie zostać, a skoro świt, moja żona z kojcami na fornalce, a waść z batogiem przy koniach piechota. Tylko ich nie zacinaj, bo żona takiego wrzasku narobi, że podróży się odrzekniesz, a na wozie nie siadaj, jakby jaki piecuch. A jeśli ci Pan Bóg dopisze, że się w jakim dworze umieścisz a dobrze, nie zapominaj o Małużyńskim herbu Lis, co ci do tego dopomógł. Ręka rękę myje, jak ludzie powiadają, bo to u nas tak z dawien dawna. Waćpan dziś się mnie kłaniasz, choć nie ma komu, a ja za rok waćpanu. A jak się kiedyś wzmożesz, bo wszystko u nas bywa, a mnie już nie stanie, pomagaj moim synom. A teraz żonkę ci powierzam, byś mi ją szczęśliwie do Warszawy przywiózł.—I tak, mój panie Kazimierzu, pan chorąży wielki Litewski, orła białego kawaler, pani Małużyńskiej służył za furmana. Ale równemu bez hańby służyć może, a choć uboga ona była, jednak tak zacnie urodzona, jak my obydwaj. Przy pomocy Pana Boga trafiliśmy gdzie nam trzeba było; przy rogatkach ani nas spytano, co ja za jeden, bo celnicy dobrze się znali z imością. A ja ją odwiózłszy do Żelaznej Bramy wedle jej woli, tam ją zostawiłem, obiecując jej starać się o kupca. A sam poszedłem do Kapucynów, moich znajomych i dla mnie wylanych, raz że ich klasztor w Olesku naszej funkcji, powtóre, że jak ci wiadomo, wszystkie u nas

klasztory za dobrą sprawą. Ale przez drogę myślałem sobie: Oj gdyby mnie poznał jaki bryś z Poniatowskiego psiarni, nie wiem czyja dola byłaby lepsza: czy moja, czy tych gęsi, com je przywiózł do miasta. Tak więc obwitawszy się z naszymi pocziwymi brodacami, poszedłem do Żelaznej Bramy z kanafarzem, który mnie od razu poznał, bo bywał w Podhorcach u mojego ojca na kweście, i pani Małżyńskiej przyprowadziłem kupca wedle mojej obietnicy. Brat kanafarz zaprowadził ją z gęsiami do blichu, gdzie blicharz na ustroniu mieszkający ułatwiał wszystkie wydatki klasztorne. A on co tylko zaceniał, bez targu zapłacił, bo ja to już był ukartował i ją pożegnałem, prosząc by się mężowi kłaniała, a dziękując jej za łaskawe przywiezienie. Przez dzień u gwardyana siedziałem, a wieczorem poszedłem do Jezuitów, których nie miałem powodu się obawiać, bo oni nie ustępują Kapucynom w pocziwości. Jakoż, lubo większa ich część wiedziała kim jestem, i nawet wielu z uczniów, byłem bezpieczny jak w obozie, bo u nas najzaciejsze uczucia w zakonach i w młodzieży. Ucałowałem mojego Adasia; przebyłci on wprawdzie febrę, ale już był zdrów, znacznie podrośł, co to za piękny chłopczyk, panie Kazimierzu, a jak się uczy! Będzie kiedyś z niego pociecha dla rzeczypospolitej. To ja pięć dni przebyłem między Kapucynami i Jezuitami, po mieście się szastałem, a jakoś

Pan Bóg dał, że kto mi był niepotrzebny, ten mnie nie poznał. Otóż późno nocą wracając do Kapucynów, gdzie był mój nocleg, codzień spotykałem Poniatowskiego w karecie ale bez straży, że gdybym chciał, byłbym mu w łeb wypalił. — Czemuś się o to nie postarał? — zawołał starosta Żydaczewski. — Zbrodnia nie jest nam właściwą — odrzekł na to Puławski. — Tu zacięta wszczęła się sprzeczka, jedni byli za Cyrykiem, inni przeciwko niemu. Cyryak chciał przedrzeć się do Warszawy, i tam dokonać tego, czego pan chorąży wielki Litewski dokonać nie chciał. Zapędy te uśmierzał wymową swoją i perswazyą ksiądz Marek, aż nareszcie do nieukróconego niczem Cyryaka ozwał się pan Puławski temi słowy: — Panie Cyryaku! my starzy z sobą przyjaciele kłócić się nie będziemy, a tylko o ufność proszę. Co trzeba, swego czasu się zrobi; zamiast zbrodniczego odjęcia życia królowi, lepiej go żywcem w nasze ręce dostać, i potem nim kierować według naszej woli; a ja wam daję słowo, że jak tylko dojdziem do Częstochowy, do tego się weźmiemy. — Uspokoily się na te słowa rozburzone umysły, a w tem świtać zaczęło. — Dosyc tych sporów i gawędki — ozwał się pan chorąży wielki Litewski — potem o tem! A teraz, panowie bracia, gotujmy się do pochodu, bo już dzień, a Najświętsza Panna Częstochowska na nas czeka; — i kazał trębaczom zatrąbić pieśń *Boga-Rodzicy*, która

zwykle towarzyszyła naszym poruszeniom. A my na
koń, i po różnych przygodach dostaliśmy się do Cze-
stochowy. Ale pan chorąży wielki Litewski z księ-
dzem Markiem zaraz się odłączyli od nas po wyjściu
naszem z Niepołomieckiej puszczy. Pan chorąży do-
stał się do Preszowa gdzie była generalność, i wi-
działem go w Nieświeżu, kiedy już było po wszyst-
kiem, ale już księdza Marka odtąd nie widziałem.
Otóż takim sposobem rzucona była pierwsza myśl
porwania króla, która wyszła z ust JW. chorążego
Litewskiego, a która, jeżeli skutku nie otrzymała to
dlatego, że pan pułkownik Łukawski, daj mu Boże
wieczne odpocznienie, podrwił głową, jako się kiedyś
może o tem wspomni.

XXI.

Błogostawiona Anna z Omiecińskich.

Nic nie jest lepszego, jak we wszystkim spuszczać się na Opatrzność bo bez Jej pomocy na nic się nie zda najprzenikliwszy rozum. Pan Bóg stworzył człowieka, o nim nie zapomni, i wszystkie okoliczności tak mu skieruje, by najłatwiej swoje zbawienie mógł otrzymać. Dobrze-li się dzieje, Panu Bogu dziękuj; źle, zgadzaj się z Jego wolą; a jak szemrać będziesz, cóż zyskasz? Jego nie nastraszysz, ani zmusisz. Jeżeli nie uważa na twoje szemrania, jako na głupstwo, więc one ci się na nic nie przydadzą; jeżeli uważa, to ze wszystkim zginiesz. Kogo nie zmożesz,

temu ulegaj. Módl się w złych przygodach, płacz przed Nim, prosz, błagaj, póki Go nie zmiękczysz, a nie bój się być natrętnym, bo On jest Pan dobry, miłościwy, kochający swoje stworzenie. On nie tylko Stwórcą, ale i Zbawicielem, nietylko Bogiem, ale i człowiekiem; Sam cierpiał i wie, czem są cierpienia ludzkie. Błogosławiona Anna z Omiecińskich, miała dziwne w tym względzie objawienie, które wyczytałem w Supraślu u OO. Bazylianów, z rękopismu wkrótce po jej śmierci przez jej spowiednika napisanego, pod tytułem: „Potok łask Pana Boga w Trójcy Świętej jedyne go, wezbrany na Koronę Polską i Wielkie Księstwo Litewskie,“ a który to rękopism że drukiem nie został ogłoszony, to z tego powodu, że byliśmy już pod gwarancją; a że w tych objawieniach były przepowiednie, któreby może nie wszystkim były do smaku, więc książę biskup Wileński postanowił, żeby utaić co Bóg objawił, aby się nikomu nie narazić. Toć to wszystko się wydoskonaliło, Apostołowie głośno się z tem oświadcza li, że najlepiej Bogu być posłusznym. Teraźniejsi past erze uczą, że posłuszeństwo Panu Bogu na tem się zasada, aby i urzędowi być we wszystkim posłu sznym. A książę biskup był wielkim wyznawcą tej nauki, i nieraz dał tego dowody, a mianowicie z oj cem Atanazym Hołownią, Bazylianem. Po dziś dzień głośne w Słuczyźnie misye ojca Hołowni. Książę bi-

skup zabronił ojcu Atanazemu misyonarzować, i ustnie go strofował, a biedny Bazyljan, co lubo bardzo uczony, wyglądał jakby prostaczek, na to:—Przewielebny panie, wszakże apostoł urzędowi powiedział: *Sic justum est in conspectu Dei, vos potius audire quam Deum?*— Książę biskup obruszył się na to okropnie i zdobył się na koncept: — Zrób waszeć, aby chromi wstawali, jak powiem: *Surge et ambula!* a uręczam, że z apostołskiem męstwem na wszystkich się porwę. — A Bazyljana w ciemę nie bito. — JO. pasterzu— powiedział mu—będą chromi wstawać na te słowa, byle były zupełnie w tym samym porządku wymówione, bo św. Piotr nie wyrzekł: *Surge et ambula!* aż wprzódy powiedział: *Argentum et aurum non est mihi.*—Zmięszał się biskup, a nic nie mógł powiedzieć, ani go ofuknąć; raz, że było wielu obecnych, przed którymi nierad był, źle się wystawić powtóre, że wszystkim było wiadomo, iż ojciec Atanazy od blisko lat pięciudziesiąt, co był zakonnikiem, ręką nie dotknął kruszcu, chyba kielicha przy ołtarzu, i miał za wielkie ubliżenie świętobliwości kapłańskiej zajmować się interesami świeckimi, posiadać złoto i srebro przeciw radom ewangelicznym, a jako niczem nieposzlakowany, śmiało przypisywał łakomstwu duchowieństwa upadek wiary w owczarni i tym podobne klęski. On omal na całe życie nie był zamknięty za to, że w Wilnie każąc na konsekracyi biskupa, miał powiedzieć: — Teraz duchowieństwo za

pieniądze poświęca dary Ducha Św., a na tem skończy, że ani Ducha Św. ani pieniędzy mieć nie będzie, bo Pan Bóg swoje, a dyabeł swoje odbierze. — Duchowieństwo łacińskie bardzo się na niego było oburzyło; nawet ksiądz Witoga jezuita wydał był książkę, w której usiłował dowieść, że ojciec Anatazy wznawia błędy *Hussa*, ale mu to wszystko w niczem nie zaszkodziło, bo duchowieństwo jego obrządku, mniej pieniężne od łacińskiego, jego poparło, a Bazylianie na Litwie byli mocni; a powtóre szlachta i pospólstwo za nim obstawały, ile że on niczego nie pragnął, żadnego urzędu zakonnego nigdy nie posiadał, misye o żebranym chlebie odprawiał, od ludzi możnych uciekał, tylko z chłopkami i nędzarzami przestawał. A nakoniec, niechętni mu pasterze i kapłani nie bardzo śmieli naprzeciw niemu zadaleko się posuwać, bo chodziły wieści, że nieraz Pan Bóg jego świątobliwość błogosławił cudami. Jakoż w czasie głodu, który Litwę trapił roku 1744, w Lidzie na rynku wśród dnia, stos kamieni w stos bochenków chleba znakiem krzyża świętego przemienił, co stwierdziło zeznanem lub podpisanem świadectwem więcej tysiąca chłopów i kilkudziesiąt szlachty tymże chlebem nakarmionych. Ale ojciec Hołownia oddalił mnie od materyi. Błogosławiona Anna Omiecińska nie tyle mądrością słynęła, ile miłością pałała dla Chrystusa Pana, i tą właśnie miłością doszła do

najwyższej mądrości. Napróżno dyabeł chciał jej tę miłość nadwąglić; zawsze ze wstydem był odparty, ale przecię dokazał, że spokojność jej umysłu zamącił następną pokusą. Dlaczego jest jedno piekło dla wszystkich nie pokutujących statecznie grzeszników, a przecie nie jednaki los wszystkim na ziemi przeznaczony? Człowiek np. urodzony w nędzy, lub wyzuty obcemi niepodwładnemi mu okolicznościami z dostatków, chwyta się niegodziwych zysków, nakoniec rozboju, i umiera nie opamiętawszy się; sprawiedliwość Boska do piekła go odseła, a gdyby on się był urodził jak ów drugi, bogatym, lub gdyby mu zawsze jak innemu los dopisywał, nie miałby potrzeby śmiertelnie grzeszyć dla pieniędzy, mając ich i tak do sytości, i byłby może uszedł wiecznego zatracenia.

Toż i inni, do których zguby obce wpłynęły okoliczności, w jakich nie własną, lecz Opatrzności wolą zostawali. Ta pokusa tyle ją dręczyła, iż łez strumienie wylewała, modląc się przed Zbawicielem, aby jej umysł od takowego zaciekania się uwolnił, protestując się przed Nim, iż o niczem wiedzieć nie pragnie, byle przy największej ciemnocie nie jej od miłości Jego nie oderwało. I na modlitwach nie poprzestając, takimi pokutami siebie wycieńczała, że wyszła do kości, aż zwierzchność klasztoru, w którym mieszkała, dośledziwszy to jej nad sobą katowanie,

zabroniła jej postów i innych umartwień cielesnych, któremu rozkazowi z największą pokorą się poddała, lubo to poddanie się było dla niej większem nad wszystkie dawniejsze umartwieniem. Nakoniec Pan Bóg zlitował się nad nią, w swojej łasce ją utwierdził, i zachwycił raz jednego jej duszę przed Swoje oblicze, aby jej odkryć tajemnice świętej Swojej sprawiedliwości. Ujrzała przed Bogiem dusze wszystkich jej znajomych żyjących; byli tam kapłani, co w dom jej rodziców uczęszczali i samiż jej rodzice, krewni i poddani, słudzy i żebracy, kogokolwiek tylko znała; było też kilku magnatów, co szczególniemi względami zaszczycali jej rodziców, i sam król August, szczęśliwie wówczas panujący na Polsce, Litwie i Saksonii, a którego przed rokiem widziała w Warszawie, kiedy jej ojciec będąc delegowanym z województwa Wołyńskiego, dla powinszowania królowi szczęśliwie zawartego karłowickiego traktatu, przedstawiał mu żonę i córkę. Jeszcze w tym dniu król bardzo zmięsział świętobliwą panienkę, zbytnie chwając jej piękność, a będąc wesołym i nieco za poufałym z kobietami, kiedy ona rękę pańską do ust przybliżyła, chciał ją w twarz pocałować, co u dworu było uważane jako grzeczność królewska poddance wyświadczona. Wtedy Anna, acz błogosławiona, tak się przełękła, iż zemdląła, czem i króla i dworzan, a szczególnie rodziców, nie mało nafrasowała. Otóż tedy te wszystkie

dusze stały u podnóża stolicy Bożej, jak staną kiedyś do sądu po zupełnem rozstaniu się z ciałem (te są dosłowne wyrazy rękopismu), a każda dusza o wszystkich grzechach najdokładniej wiedziała, i o wszystkich grzechowych okolicznościach, bo to wszystko było na nichże wyrażone, że i błogosławiona Anna na nie patrzyła, jakby na swojej dłoni. A Pan Bóg nie miał potrzeby ich sądzić, bo każda dusza sama siebie jak najsprawiedliwiej osądziła. Strach był wielki, bo póki z ciałem dusza, sama siebie niby oszukuje, ale bez niego nie ma omamienia: każda rzecz przed nią na wierzch wychodzi. A bardzo było dusz mało, wedle relacji naszej Świętej, któreby sobie przyznały prawo do nieba; niewiele też było wprawdzie, coby na wieczne potępienie zasłużyły, ale najwięcej takich, którym trzeba było oczyszczać się jeszcze pokutą. Nam się zdaje, że czyściec niewielka rzecz, ale dusza srodze się jego boi, bo tam takie cierpienia, że wszystkie nasze są fraszkami, a nad wszystkie cierpienia wstyd, że aż poniewolnie pokutować trzeba, a tak łatwo było za żywota od tej biedy się ustrzedz. Truchlały więc dusze, chociaż Pan Bóg żadnego na siebie duszy wyroku nie zaostrzył, a wiele ułagodził; a taka była trwoga, że i błogosławiona Anna rozbiłaby się na widok udręczenia tych dusz, gdyby jej Pan Bóg nie dodał siły do zniesienia tego, na co patrzyła. Otóż Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel

i Sędzia, powiedział tym wszystkim duszom: — Jeszcze na was ostateczny koniec nie przyszedł, wracajcie do ciał, które na was czekają. A jeżeli stan, w jakim którego z was umieściłem, myślicie iż jest na przeszkodzie zbawieniu, każdy niech sobie wybierze godniejszy; a który wybierze, w tym go postawię. — Tu wszystkie dusze zaczęły prosić, aby do końca im pozwolił zostać w takim, co go im przeznaczył, bo w żadnym innym z taką łatwością się nie zbawią. Król chciał być królem, szlachcic szlachcicem, włościanin włościaninem, nędzarz nędzarzem, a jako tu nikt nie rad ze swojego stanu, tam każdy błogosławił Pana nad pany, iż żadnemu nie dał tego, co było z jego szkoda, a to tylko uszkodziło, co nie było z własnej woli i ze swoich usilności, a nie wymodlił u Boga. Dopiero każdą duszę odesłał do jej ciała na naszym padole płaczu, i każdy obudził się jak ze snu twardego, nie pamiętając co się z nim stało. Tylko błogosławiona Anna z rozporządzenia Bożego zachowała w pamięci, jak nasz Zbawiciel swoje rządy usprawiedliwił przed swoim stworzeniem. I za Jego pozwoleniem, dla większego zbudowania Kościoła, to wszystko wyznała przed swoim spowiednikiem, a ów kapłan to zeznanie między wieloma innymi umieścił w rękopiśmie, o którym dopiero wspomniałem. Tem się utwierdzić możemy, że najlepsza modlitwa ta, co ją wprost od samego Boga mamy. *Bądź wola Twoja*

jako w niebie, tak i na ziemi, a co nam potrzebnego, On to nam da. Luboć i o doczesne rzeczy prosić trzeba; bo jak się otrzymają, coby mogło być w nich szkodliwego, tą prośbą wnet się oddziela, jak plewa od ziarna. A uchowaj nas Boże, abyśmy szemrali, kiedy nam odmawia o co Go prosimy; dla naszego dobra może daru udzieli, może go też zupełnie odmówi, a w takim wypadku, choć niemiłym, dziękować Mu trzeba, bo Jego mądrość i miłosierdzie ochronią nas od zguby, za którą nasza wola nieoświecona łaknie. O! wieleż to razy każdemu z nas zdarzyło się napróżno pragnąć takich rzeczy, co później bardzo się cieszył, że ich nie dostał!

XXII.

Zdanie szlachcica o Wolterze.

Jeszcze to nienajdawniej, ustawicznie o Wolterze rozprawiano, aż uszy bolały jedno a jedno słuchać. Jakoś to jeszcze za konfederacyi Barskiej, to nazwisko pierwszy raz obilo się o uszy moje. Pamiętam że w Preszowie, u przewielebnego Krasińskiego biskupa Kamienieckiego, który był i świętobliwym kapłanem i wielkim senatorem, bywał często pan August Siedlnicki, wojewodzie Podlaski. Ten pan wo-

jewodzie dworakował u króla Poniatowskiego; ale że był krajowi życzliwym, więc chociaż go grafem nazywano i po niemiecku się ubierał, do nas akces zrobił, i przy łasce Bożej dotrwał do końca. Książę wojewoda Wileński, co go nie lubił, raz, że nie po naszymu się stroił, powtóre że miał we zwyczaju zbytnie przy starszych rozprawiać, bywało mawiał o nim: — Ten Francuz z Mokotowa chce nam wmówić panie kochanku, że wszystkie rozumy pojadł. — Otóż razu jednego, gdy u biskupa Krasieńskiego w przytomności księcia wojewody i innych panów i szlachty, wojewodzie rozszerzał się nad swojemi peregrynacyami po zagranicznych dworach i ziemiach, gdy przyszło do Francyi, zaczął się rozwodzić nad Wolterem, jak on to niszczy w swoim narodzie przesady i zabobony, i daje mu światło widzieć, i że co to byłoby za szczęście, gdyby w naszym kraju podobny do niego wielki człowiek się zjawił, i tym podobne rzeczy. Książę wojewoda przerwał mu dyskurs, mówiąc: — Panie kochanku widziałem tego Woltera, at! zwyczajnie Francuz, pochwytał koncepta od księdza Bohomolca, i temi swoim baki świeci. — A trzeba wiedzieć, że ksiądz Bohomolec wydał był wtedy świeżo bardzo piękną książkę, pod tytułem „Dyabeł w swojej postaci“, gdzie sztydził z upiorów, o czem książę

wiedział, a że sam wierzył w upiory i mocno się ich obawiał, więc z tego powodu zbrzydził księdza, i już mu do siebie przystępu nie dopuszczał.

Tylem tylko przez długi czas wiedział o Wolterze; człowiek, to wojując, to w palestrze obywatelom służąc, to koło roli pracując, nawet czasu nie miał dowiadywać się, co też tam się dzieje za górami. Ale gdy się doczekało dobrze osiwieć, a siła i ochota do pracy się zmniejszyły, człowiek rozrywki potrzebując, na starość wziął się do czytania. A że wten czas o Wolterze bardzo mówiono, wyznaję, że uczulem chętkę dokładnie poznać, co też ten pan Wolter tak mądrego wymyślił; ale trudno było w podeszłym wieku po francuzku się nauczyć, żeby go zrozumieć. I z tem niejednokrotnie słyszeć się dawałem przed swoimi.

Aż tu na moje imieniny, Staś, mój wnuk, dopiero skończywszy nauki w Wilnie i z francuzczyzną jak się należy obeznany, dał mi na wiązanie, przez siebie tłómaczoną tragedję Woltera, *Zairę*, gdzie to miał niby wystawić Turków i chrześcian w czasie wojen krzyżowych. Właśnie na ten dzień zjechało się do mnie łaskawe sąsiedztwo, a między innymi pan Azulewicz, Tatar ale szlachcic, przyjaciel i kolega mój. On to kiedyś posłował na Krymie w czasie kon-

federacyi Barskiej, i w Stambule lat dziesiątek przepędził w usługach rzeczypospolitej, i pułkownikiem był w wojsku, a potem w mojem sąsiedztwie osiadł na dziedzicznej wiosce. Nasza przyjaźń nie wczorajszą była; kolegowałem z nim w poselstwie do Siczy zaporozskiej, i JW. Ogiński wojewoda Witebski wyprawiał nas obu do Chocima, ażeby wręczyć konia w bogaty rząd ubranego Emir Jussufowi, tamecznemu baszy, który nam sprzyjał, a to wywdzięczając się jemu, że jego ludzi zbrojnych, którzy przez Dniestr przeprawiali się uchodząc przed ścigającym nieprzyjacielem, swoim kosztem podejmował i przez swój kraj przeprowadził aż na Pokucie, gdzie z konfederatami się złączyli. To ów basza wedle ich obyczajów okazał się, iż nam był rad; kawą i sorbetem nas częstował, obdarzył pana Azulewicza kosztownemi paciorkami, nakształt naszych różańcowych, do odprawiania jakichś tam muzułmańskich modlitw, a mnie dostała się szabla, prawdziwy Damaszek, na którym można dukatem pisać, jak kredą na tablicy, którą to szablę na Bilsku po naszymu kazałem oprawić. Ale potem, gdy mi do głowy nieco skrupułu przyszło, że chociaż Emir Jussuf uczciwy mąż, przecie jako bisurman może coś niedobrego do tej szabli przyczepił, — ja zaś broni chciałem używać po szczeremu, bez żadnych inkluzów, jako katolickiemu szlachcicowi przystoi, otóż uprosiłem księdza Marka, ażeby na

wielkim ołtarzu podczas mszy świętej ją poświęcił, i taką po dziś dzień chowam, którą po mojej śmierci wnukowie znajdą. Kiedy Staś wziął się do czytania, wszyscy z uwagą słuchali go, a szczególnie pan Azulewicz, co znał Turków na pamięć; i ja nieco z niemi obeznany, oddając sprawiedliwość i pracy tłumacza, przez którą dziadowi chciał życzliwość swoją okazać, i niektórym czułym kawałkom: ile razy Turcy występowali, ledwośmy za boki siebie nie brali ze śmiechu. Sułtan narodu, gdzie wielomóstwo jest w obrzydzeniu i pogardzie, byle o co rozprawia, jak Piekarski na mękach. Któż o tem nie wie, że Turczyn tak jest zardosny, że bratu rodzonemu na swoje żony patrzeć nie pozwoli? a do tego wstydlivy, że nie tylko kobiety i rzeczy jej tyczącej się nie wspomni, ale słuchać coś podobnego, poczytuje za największą nieobyczajność i zgorszenie? Otóż u pana Woltera sułtan nie tylko że ze swoim powiernikiem, jak i on Turczynem, tak szeroko plecie o miłości, że warszawskiego nawet panicza mógłby czegoś nowego nauczyć; ale rycerzy chrześcijańskich, z którymi od dzieciństwa wojował i dotąd wojuje, do komnaty swych kobiet dopuszcza, z niemi rozmawiać pozwala, i takich im wolności udziela, jakieby u nas nawet za dawnych czasów nie uchodziły;—a nakoniec ów sułtan Turecki sam się zabija, jak Niemiec, który zbankrutował. Otóż to wielki człowiek, któremu wierzone, jakby jakiemu proro-

kowi! Co mi po dowcipie, kiedy kawałka prawdy nie ma? I on to przeciw religii naszej pisał i bałamucił młodzież, jak mnie świątli ludzie o tem zapewniali! Na biedę przyszło, kiedy tak wierutny łgarz wiarę znalazł.

XXIII.

Zamek Kaniowski.

Żadna rzecz ludzka nie jest doskonałą, a co tylko ludzie wymyślą, to inni ludzie ulepszyć mogą; albo li, co często bywa, zepsują. Lecz te rzeczy, co już w obyczaj weszły, częstokroć takim podlegają zawziętościom, że bez zbytecznej zarozumiałości przyganiać im nie można. Wiele jest na świecie rozmaitych narodów, a każdy z nich podlega pewnym prawom, krępującym go bez wątpienia, ale razem zabezpieczającym byt jego. W tych wszystkich prawach jest wiel-

ki stosunek i wielka odmienność: stosunek w tem wszystkim, co się odnosi do wyobrażeń danych człowiekowi wprost od Boga, — różnica we wszystkich względach jedynie ludzkich. Jak to bywało, mówiono o dekretach; że niektóre z *nogami*, to jest nabiegane, drugie z *rękoma*, to jest po prostu opłacone, a przecież najwięcej takich, co wedle Boga i sumienia, bo inaczej nie byłoby sprawiedliwości między ludźmi. Toż i o prawach powiedzieć mogę: są między nimi takie, które oczywiście dla osobistych a chwilowych okoliczności napisanemi były, i te wylęgły się w czasach, kiedy już prawodawstwo wątlić się zaczęło, kiedy u prawodawców uczucia już z serca do głowy przenosić się zaczęły. Ale każdy naród, jeżeli zechce się opatrzyć, przekona się, że wszystkie jego starożytne prawa wedle Boga napisane były. Niewiele pokładam ufności w prawie świeżo utworzonym, ale co się dotyczy tych, co już przeszły przez probierczy kamień czasu, dla nich jestem przejęty głębokiem uszanowaniem tak dalece, że chociażby i dziwaczniemi się zdawały, zaraz przychodzi mi na myśl, że muszą się odnosić do jakich okoliczności, które, gdyby wiadome były, przekonałyby o ich mądrości i właściwości. Prawo jest historią narodu, i taką, która zaprzeczeniu nie podpada, jak dzieje, które mogły się wydarzyć lub nie. Albo pozwólmy, że się wydarzyły rzeczywiście; jakaż pewność, że ten, co je opowiada, zach-

wał czystą prawdę bez nadwątlenia jej ozdobami? Czy raz bywało, że z kilku naocznych nawet świadków jednego zdarzenia, każdy je po swojemu opowie? Jeden wspomina o okoliczności takiej, drugi o innej, która pierwszą zbija; domyśl się wtedy, czyja prawda! Ale w prawach nie ma obłudy; z nich jak oliwa z wody na wierzch wychodzą obyczaje narodów, i to jest właśnie prawdziwa historia. Wyrzucają naszemu dawnemu prawodawstwu, że nie było w niem środków wykonawczych i dość sprężystych; ztąd prawo równano do pajęczyny, w której mucha się wikła, a bąk ją przebija. Nie przeczę, by nie miało być coś gruntownego w tym zarzucie, ale nigdzie jeszcze nie usnuto pajęczyny na bąka; wszędzie bieda z bąkami. Każdemu narodowi można powiedzieć z ruska po polsku: *kruty ne kruty holowu neboże nie dokażesz*, żeby chudemu pacholкови było to samo co panu. Choćbyś się pozbył wszystkich panów, wkrótce się oni znowu pokażą; alboż co jesieni pszczoły nie wybijają swoich trutniów co do nogi? a przecież na wiosnę znowu ich pełno. W czasie sejmu czteroletniego my wszyscy się zapalali do tego, co się wówczas we Francyi działo: jak to było pięknie równością naszą szlachecką całkowity naród obdarzyć, króla osądzić, dworaków się pozbyć, uwolnić się od wszystkich tych, co dotąd ciążyli na równości obywatelskiej, jednym słowem, wytepić szerszenie i bąki, żeby tylko zostały

same muchy, na które pajęczyna prawa jest dostateczną? Śliczna myśl! A długo li ona była stateczną? Z pomiędzy much niektóre powyrastały, tak, że już stały się ogromniejszymi od tych bąków, które się naprzykrzyły; wszystko się wkrótce odnowiło: i król i dwór i magnaci, a co wygnano wszystkiemi drzwiami, oknami wróciło; to, kiedy po upłynionych latach Francya przyszła do naszej Litwy, był to dla nas czas wielkich nadziei, ale który zrodził nam tylko nowe nieszczęścia, bo przeciw nam był mocarz silny i przezorny, a za nami przyjaciel nieszczerzy i nieroztropny. Otóż wtedy napatrzyłem się na kozery francuskie: taki co przed kilkonastoma laty bił się za równość ziomeków, tak spyszniał, że ani dostać do niego. Będąc członkiem komisyi centralnej w Grodnie, z urzędu mego musiałem codziennie odnosić się do francuzkiego gubernatora; jak mówiono, był on kiedyś blacharzem, co mu nie krzywdę, ale zaszczyt owszem przynosiło; bo któżby miał mu za złe że męztwem i zasługami do wysokich dostojenstw się wyniósł? Ale co to była za duma, za nadętość! Obwiniają naszych magnatów, że byli wyniosłymi. Oj! wolałbym z najdumniejszym naszym magnatem rok przebyć, niż godzinę z podobnym gubernatorem. Nie taję mojego wyznania; może byłoby dobrze, by żadnego nie było magnata; zgoda! piszę się na to i krwią

własną podpiszę. Od pastucha do senatora niech wszyscy będą równi; ale mają li być koniecznie magnaci, niech że będą przynajmniej tacy, których krew z wielkich przodków na nich się zlała. Uchowaj nas Boże od podpanków, od takich, co lubo teraz możni, lecz ich dziadowie w palce chuchali, dla ogrzania się w zimie, bo im świeższe u nas szlachectwo, tem więcej cuchnąca duma. Alboż to nie widzimy codziennie, że ekonomskie syny dzisiaj więcej nosa do góry zadzierają, niż dawniej senatorskie dzieci? Dawniej magnat był dumny, ale względem równego mu magnata; względem szlachty i sług był poufałym i braterskim. Teraz syn ekonomski, czy tam wnuk, jak się dodrapie przestronnego dziedzictwa, ani patrzy na zacnego człowieka pokrzywdzonego losem; nie ma upokorzenia, którego by względem niego nie ważył się dopuścić. Słabe były środki wykonawcze w naszym prawodawstwie; dajmy, że tak było rzeczywiście. Cóż ztąd za wnioszek? że obywatele źli byli? owszem musieli być bardzo cnotliwi, kiedy prawodawcy na ich charakter jedynie się spuszczali. Bywały czyny dowodzące przemocy magnatów, ale nie myślcie, by to wszystko było prawdą, co teraz o nich mówią. Niejednemu się zdaje, że u nas były ciągle najazdy, — że magnaci nie mieli innej rozrywki, tylko batożenie szlachty; — że gwałt był ciągłym stanem narodu. Czyż to wszystkiemu wierzyć, co ludzie mówią?

W całej Wielkopolsce ani słychu było o najazdach; toż samo w Małopolsce, a na naszej Litwie przez całe moje życie trzy były tylko wypadki, że, pan szlachcica najechawszy, ukrzywdził. Nasz książę napadł był w karczmie na pana Zarembę i jego skrzywdził,— a JW. Tyzenhauz, podskarbi wielki Litewski, panu Turowi przez jedną noc wszystkich poddanych na swoje grunta przeniósł, i tak chałupy i dwór sprzątnął, że gdzie była wieś, zostało samo orne pole. Był głośny proceder między JW. Żabą, wojewodą Połockim a panem Hutorowiczem, osiadłym szlachcicem, którego tenże JW. Żaba pięć lat więził okutego w piwnicy, że aż po pas broda mu urosła. Otóż i wszystkie gwałty litewskie przez lat dwadzieścia a jeśli szlachta między sobą się powadziła, i przyszło do uczynków, toć to już nie prepotencya, na całym świecie ludzie siebie krzywdzą, i na to jest prawo. A ktoby tam urzędy stanowią, gdyby ludzie żyli jak anieli? A i te czynności, o których nadmienilem, na sucho nie uszły. Nasz książę pięćdziesiąt tysięcy musiał bezwarunkowo zapłacić panu Zarembie, a taki dwanaście niedziel w więzy *personaliter* wysiedział w Nowogródku. Z panem Tyzenhauzem gorzejby się stało, gdyby go nie był zakwitował z procederu pan Tur, wzięwszy za to kamienicę na Antokolu, i ustęstwo starostwa Sutorowickiego, na co JW. podskarbi przywilej panu Turowi od króla wyrobił; a na JW.

Żaby wypadł dekret grodzki, w którym rozdział II, artykuł XXVIII statutu Litewskiego z całym rygorem do niego zastosowany został. To ledwo wyłamał się z niego w trybunale, sownie wprzód zagodziwszy pana Hutorowicza, by mu w tym wyrobku nie przeszkadzał. Sprawa więcej dwukroć go kosztowała, chociaż i strona powodowa była zaspokojoną, i sam książę wojewoda Wileński zjechał na trybunał, by za przyjacielem forsować. O żadnej innej prepotencji magnata względem szlachcica nie słyszałem; a pewnie po aktach ciągle szperając, a z ludźmi obcując, nic takiego przedemnąby się nie utaiło. Ukraina była jedyną częścią Rzeczypospolitej, w której podobne bezprawia nie były rzadkie. Tam było kilku panów możnych, a szlachty nadto mała liczba, by im jakąś przeciwwagę położyć; nawet w tej małej liczbie szlachty osiadłej na Ukrainie, ledwo dziesiąty był prawdziwym szlachcicem; reszta z poddanych dworskich, co ich panowie z Wielkopolski i z Krakowskiego lub z Podlasia wywieźli, którzy po polsku mówiąc, a w usługach pańskich jakiegoś grosza nązbierawszy, przyszli powoli do roli dziedzicznej czy zastawnej, i tak wdarli się cichaczem do szlachectwa, nim je sobie i potomkom zabezpieczyli, korzystając z pozwolenia danego królowi konstytucją 1765 r., która to konstytucya, samowolnie rozciągnięta nad jej wyraźne brzmienie, niemało pieniędzy ukraińskich do kasy

króla Stanisława przywabiła. Komuż nieznany pan Potocki, starosta Kaniowski, na którego rachunek nakarbowano wszystkie gwałty, jakie przez półtora-sta lat może robiły się na Rusi? a bezwątpienia że i on sam niemało ich napłatał. Ale i on pod pewnym względem służy na dowód, że była u nas sprawiedliwość; wszak ci on żadnego szlachcica nie zabił, tylko gęsto sypał plagi na tych, do których coś upatrzył, co nie było trudno, bo był chimeryk. Przecie miliony miał po rodzicach, posiadał starostwa intratne, grosza na przepych nie marnował, owszem był wielkim gospodarzem, żadnemu panu trzy wsi nie przynosiły tyle, ile jemu jedna, a po śmierci nie wiem czy dwakroć sto tysięcy na jego synowca spadło. Ile bowiem batogów sypnął był jedną ręką, tyle potem tysięcy drugą na zagojenie pierwszych dawał. A wieleż to na Ukrainie liberbaronów na dziedzictwo wyszło, z łaski jego batogów! To tu razu jednego powiedział pewnemu szlachcicowi, co mu naprzykrzał się w karczmie: *Nema hroszy, nie budu byty*. Wszyscy słyszeli o staroście Kaniowskim, a ja byłem mu osobście znany, nawet miałem z nim interes, z którego powodu cały tydzień służyłem mu w Kaniowie, i mogę się pochwalić, że najmniejszej przykrości z jego strony nie doświadczyłem. Owszem, tyle okazał się dla mnie łaskawym i łatwym w interesie, że daj Boże moim wnukom każdy swój interes podobnie kończył!

Moja bytność w Kaniowie nastąpiła z następnego powodu.

Książę Wiśniowiecki, hetman wielki Litewski, którego córka jedynaczka była matką naszego księcia, miał starostwo Kaniowskie, nadane jeszcze od króla Augusta starego. Tam, jak zwyczajnie wtedy na Ukrainie, zastał same pustki. Ale w przeciągu swojego władania wymurował zamek, wystawił folwarków, młynów i zabudowań co niemiara, o co po jego śmierci sukcesorowie poszukiwali swojej należytości w rzeczypospolitej, że kiedy później to starostwo dostało się panu Potockiemu, on wziął na siebie obowiązek zaspokojenia księżny Radziwiłłowej. Za wstawieniem się przyjaciół, interes został ukończonym. Jeszcze księciu wojewodzie Wileńskiemu *residuitatem* zostawało u pana Kaniowskiego czternaście tysięcy, które się zawiodły z powodu zamieszek krajowych od śmierci Augusta III. Książę pan wróciwszy do Ołyki z Lublina, po ukończonym interesie z książętami Lubomirskimi przypomniawszy sobie, że mu jeszcze coś należy od starosty Kaniowskiego a chcąc mi łaskę wyświadczyć za moje usługi, darem darując, odstąpił mnie te czternaście tysięcy, dodając:—Panie kochanku! waszeć teraz na Rusi, ruszajże sobie do Kaniowa po pieniądze, abys z gołemi rękami nie pokazywał się żoncy, której od waści kłaniać

się będę.—Padłem do nóg mojemu JO. panu. Czternaście tysięcy wtedy był piękny grosz, a nawet i teraz, ktoby ich na drodze znalazł, nie szczędziłby rąk swoich do ich podniesienia. Ale jak zaczęli mi ludzie mówić o dziwactwach pana starosty, że zamiast monety srebrnej nietrudno w Kaniowie o rzemienną, nie małam się nafrasować, lecz powiedziałem sobie.—Najprzód, panie Sewerynie, czyż już dla wilka nie iść do lasu, choć skóra w strachu? Ojciec dzieciom czternaście tysięcy dla strachu nie opuści, chybaży już oczu nie pokazać między ludźmi.—Postanowiłem tedy odebrawszy list od księcia pana do pana starosty, naza jutrz puścić się podróż. Pan Bartłomiej Chodźko napierał się być moim towarzyszem, ale mnie na to nie namówił, bym szedł z żarem do prochowni. Cały wieczór na pokojach miną nadra'białem, ale w sercu była wielka niespokojność, tak, że przed wyjazdem na intencję pomyślnej podróży opatrzyłem się Przenajświętszym Sakramentem w kollegiacie ołyckiej, i uczyniłem ślub, że po odtrąceniu wszelkich wydatków, z całej kwoty co ją odbiorę, opłacę dziesięcinę w połowie kollegiacie, a w połowie siostrom miłosierdzia w Nowogródku. A lubom wiedział, że pan starosta wówczas znajdował się w Kaniowie, puściłem się jednak ku Podolu, a to: żeby przypomnieć się JW. Potockiemu, podczaszemu Litewskiemu, u którego kilkakrotnie byłem na ordynansie w czasie

konfederacyi Barskiej. Ba! omal że nie zabrał mnie wtedy z sobą do Stambułu, co mi się bardzo podobało, bo który młodzian nierad jak najwięcej światła przebiedziesz? Ale wola Pana Boga była, bym w swoim kraju służył, bom tak na malignę zapadł był, że J.W. podczaszy bezemnie wyjechał, lecz mogłem sobie pochlebiać, że jakiś wstęp mam do jego osoby.

Pojechałem więc do Morawy, raz dla złożenia czołobitności ziomkom poświęconemu panu, powtóre, że on zasługami swojemi mógł być uważanym za głowę domu Potockich. Chciałem się więc ubezpieczyć w Kaniowie jego listem do pana starosty. Jakoż, chociaż tuzin lat i więcej minęło, jak mnie widział ostatni raz pan podczaszy, od razu mnie poznał, nazwał mnie po chrzestnem imieniu, i tak łaskawie mnie przyjął, że padłem mu do nóg łzami się zalawszy. Z wielką czułością wypytywał mnie o J.O. księciu, moim panu, i o innych magnatach Litewskich, z którymi miał przyjaźń, a których od dawna nie widział, bo od sejmu podziałowego zamknął się był w Morawie, i zajmował się gospodarstwem, usunąwszy się od życia publicznego, w którym wedle jego przekonania nie godziło mu się być czynnym. I tyle okazał się dla mnie łaskawym, że chociaż zostawał w obojętności względem pana starosty Kaniowskiego, z powodu, iż ten świeżo kazał był powiesić żyda z Morawy,

nie odniósłszy się do niego, jednak własną ręką napisał za mną list instancyjonalny, co mi go przed wyjazdem wręczył. Pan Wirski, marszałek jego dworu, a niegdyś jak ja konfederat Barski. Pan Wirski przyjął mnie był na swoją kwaterę, i przez dwie doby, com przebył w Morafie, miałem u niego wszelką wygodę. Nie był mu tedy tajny mój interes z panem starostą, a że go znał dobrze i sam bywał nieraz świadkiem jego dziwactw, różne dał mi informacye o trybie życia, jakie on przybrał. Szczególnie mi radził, bym nie ważył się kołami zajeżdzać przed jego zamek, ale konno przybyć, gdyż pan starosta zaraz się kwasi na szlachcica, co nie będąc chorym ani zgrzybiałym, pozwała sobie podobnych zniewieściałości. Utrzymałem albowiem, że w Polsce temu tylko pojazd godziwy, kto ma krzesło w senacie lub trybunale, albo miejsce na ławach poselskich, dając z siebie przykład, że będąc tylko starostą, podróże chociażby najdłuższe, wierzchem odbywał. Tak więc listami, radami, a najwięcej ufnością w Bogu opatrzony, puściłem się do Kaniowa dnia 4-go Sierpnia, w wigilią N. Panny Śnieżnej. Nie omieszkałem kupić po drodze w Niemirowie terlicę kozacką z całym moderunkiem, a miałem w leju klacz skarogniadę, która w potrze-

bie niezgorzej pod siodłem chodziła, i szczęśliwie po czterech dniach podróży, już po zachodzie słońca, zajeżdżałem do żydowskiego domostwa na przedmieściu kaniowskiem. A nazajutrz raniuteńko wysłuchałem mszy świętej u Ojców Bazyljanów. Do południa nachodząc się po mieście i namedytowawszy, kazałem chłopcu klacz okulbaczyć, i w Imię Boskie ruszyłem na niej wprost do zamku. Przed bramą spostrzegłem trzy słupy, z uszami żelaznemi do zawiązywania przy nich koni: O, tu pan Wirski zapomniał mnie oświecić, że ja samym instykiem tylko uniknąłem napaści. Jeden słup był karmazynowy, drugi biały, a trzeci czarny; przy pierwszym uwiązałem klacz i dobrze mi się udało, bo jakem się później dowiedział, ten słup był dla szlachty, drugi dla chłopów, trzeci dla żydów, a jak kto wybierze słup niewłaściwy swojemu stanowi, a pan starosta to spostrzeże, temu już bieda, zwłaszcza, jeżeli podochocony. Że to była sobota, pan starosta ten dzień suszył, i żadnego mocnego napoju nie używał, o czem się dowiedziałem u Bazyljanów, więc miałem dobrą nadzieję o pierwszym spotkaniu, a wziąłem na siebie mundur albeński, do którego noszenia świeżo byłem upoważniony. Uwiązawszy tedy kobylinę u szlacheckiego słupa, poszedłem na dziedziniec, gdzie zastałem wychodzących z kaplicy zamkowej, i rozpierzchających się po dziedzińcu dworzan i sług kaniowskich; kilku zostało tylko przed

kaplicą z czapkami pod pachą, a jeden miał głowę nakrytą, którego po tem samem można było poznać, że to był sam pan starosta. Chociaż wzrostu nikłego, a chudy i ogorzały jak cygan, było coś odznaczającego się w jego obliczu, coś okazującego, że był nawykłym do dawania rozkazów, a jeszcze więcej do tego, by je natychmiast spełniano. Z dworzan otaczających go, żadnego nie było, coby go przynajmniej głową nie przenosił, a szczególnie jeden bliżej jego stojący (do którego właśnie w tej chwili przemawiał, i można było zaraz poznać, iż się zaszczyca ściślejszą poufałością pana), był i ogromnej tuszy, i olbrzymiego wzrostu; przecie gdyby nawet pan starosta wraz z nimi miał głowę odkrytą, ani bym się wahał domyślić, że on nad nimi wszystkimi starszy. *Poznać pana po cholewach.* Jego czupryna czarna i kędzierzawa, u spodu podgolona, długim spadała kudłem niżej prawego ucha, więcej z kozacka, niż z polska; małe oczy czarne błyszczały jakby jaszczurcze w twarzy, po której kilka szramów świadczyło, że w burdach swoich własnego łba nie szczędził; a najgłębsza kresa, co mu lewy policzek na dwie części ledwo nie równe przedzielała, jakem się później dowiedział, była pamiątką tego najpoufalszego dworzanina, z którym rozmawiał, a który tem iż go przemógł, zaskarbił sobie szczególne pańskie względy. Wszyscy dworzanie byli odziani porządnie, nawet nie bez jakiegos

przepychu. Ale on sam miał na żupanie płótno domowej roboty, z pod którego wyglądały karmazynowe hajdawery, długą kurtkę granatową z potrzebami, a żupan był opasany rzemiennem łykiem, przy którym wisiała ogromna szablica. Właśnie zapalał mu lulkę kozaczek, mający za pasem nahaj w srebrną skówkę oprawny. Zbliżyłem się ku niemu, i nisko skłoniwszy się, zabierałem się do opowiedzenia siebie; ale jak utkwiał we mnie wzrok swój, zmierzwszy mnie wprzód od głowy do pięty, zmieszał mnie z razu tak, że zapomniałem języka w gębie. Zaraz wszelako przyszedłem do siebie, jak się odezwał pan starosta:—Co to, waszeć, jak widzę, Albeńczyk; a co nam z Litwy przynosisz?—Odpowiedziałem śmiało:—Mam listy do JW. pana, które dadzą mi wstęp do mówienia o interesie—i dobywszy z zanadrza list z Morafy, złożyłem go w jego ręce. Ale ledwom wspomniał Morafę, nadstawił marsa.—To znowu wymówki za żyda, co go w Kaniowie powiesili! Pan podczaszy za żydem się ujmuje, jakby za rodzonym bratem: aż Albeńczyka na mnie sprowadził. A wiesz waszeć, że to Kaniów? Jeśli z Morafy przyjeżdżasz, to musisz wiedzieć, że Boćki do pana podczaszego należą, i że ja ztamąd co roku kilkadziesiąt nahajów sprowadzam.—Tu wzięwszy nahaj od kozaczka: —Widzisz waszeć *timor Domini*, alias pióro? Ja miewam we zwyczaj,

że na listy z wymówkami odpisuję nim naskórze tych, co mi je oddają.—Tu się obruszyłem jakby nie było, a nadto dobrym się czułem szlachcicem, bym dał sobie mówić o batogach.—JW. starosto!—powiedziałem śmiało—może na Ukrainie we zwyczaju nahaj za pióro, a skórę szlachecką za papier uważać. Ja jestem dworzaninem księcia wojewody Wileńskiego, od niego w swoim interesie przyjeżdżam, o czem list od JO. mojego pana przekona. O żadnym żydzie morafowskim nie wiem, tylko JW. podczaszego o list instancyonalny prosiłem do JW. pana, i dostałem go, bo mnie znał JW. podczasz, kiedyśmy razem nie nahajem ze szlachtą, ale szablą z wrogiem wojowali. Ja jestem Litewskim szlachcicem, a do tego Albeńczykiem, i mam przy sobie pałasz, który moją skórę przegrodzi od batogów: a jeżeli mnie liczbą rozsiekacie, znajdą się koledzy moi, którzy choćby w zamku Kaniowskim, po mojej śmierci nawet odszukają mojej krzywdy.—Wypogodziwszy oblicze swoje pan starosta, a obróciwszy się do poufałego dworzanina:—Oto nawiżenny Litwak, czortaby nałukaw; — widzę żeś prawdziwy Albeńczyk, panie bracie, samopas gotoweś mnie najechać w moim zamku. Mospanie Łopucki! przeczytajno, czoho choczet wid nas pan podczasz.— Odczytał głośno ogromny dworzanin list pana podczaszego, w którym żadnych nie było wymówek, tylko za mną instancya w nader chlubnych o mnie wyra-

zach, którechem się ani spodziewał, anim na nie zasłużył.

— Dobre bratku, dobre, pomyrymsia: na szczo nam z soboju wojowaty? — i podał mi rękę, którą z uszanowaniem pocałowałem. — Dawaj no teper piśmo księcia Radziwiłła. — List był krótki, w którym mój ksiązę prosił o łaskawe przyjęcie swego sługi. Pan starosta z przymileniem powiedział: — Proszę, panie bracie, rozgościcie się w moim domu; nie puszcze waszeci od siebie, pokąd tydzień nie upływie. Dziś Sobota, wodu piju jak Sełczyn, ale jutro upijem się z sobą, bo ty dobra detyna i zuch, a do tego sługa (tu zdjął czapkę) JO. księcia wojewody Wileńskiego. To pan nad pany, koły ty jeho dworanim, to ty ne hirszy za mene, jaby sam u niego służył. — Na to pan Łopuski: — A jużci tego nie pozwolim; tam-to Litewski pan, a pan nasz pan. Nam szlachcie służyć, a wam równym sobie panom, panować. — Pokiń, pokiń, Pane Łopuski, daleko kuciomu do Zajcia. Kołyb ja wsich moich ludej i żydow z ich żynkami i detmi w kuczcu nahromadyw, i połowyny ne bułoby toho, szczo on towko maje w swojej milicyi. A szczo za dwir jeho! Marszałek bilszy pan za mene. Wiesz waszec, mospanie Soplico! że przed kilkunastoma laty całe półrocze przesiedziałem u waszego pana w Nieświeżu; widzisz tę kresę, co ją mam na

lbie? To pamiątka po panu Ignacym Wołodkowiczu. O se buw mołodec, i z rodu takoho ne baczyw, bywało sablu jak sykiru rubaje; aż triski litajut. Powadziłem się był z panem Józefem Rejtanem, i dwa palce jemu odrąbałem, a pan Wołodkowicz ujął się za nim. — A no zemną, mospanie Kaniowski. — Dobre, każu, poborym sia, ale jak dał meni po hołowi, wsi nebesne zwizdy mohbym porachowaty. To my pisle toho tak sia polubyły, szczo bez sibia żyty nie mohły. Oy! kołyb ja buw tohda w Nowohrodku: jak jemu koncyna prychodyła! Sey proklaty pip anyb ieyo łyznuw. Szczoż robyty? Ja za nym płakał jak detyna, szest nidył pyw diń i noczu, a smutku nie moh zabuty. A wašcin książę, oto ale pan! W Koronie tylko podpanki, nema z kim żyty. Mospanie Soplico! przepraszam, żem waszeci z razu źle przyjął, ale jakież mnie oddał list pana podczaszego, anim się mógł spodziewać, że i od waszego księcia mnie drugi przynosisz. Myślałem, że znowu mnie łaje, bo gniewa się na mnie podczasz, a sam osądź, czy ma słusność: — kiedy wasz książę przed nieprzyjacielem uchodził Po-dolem na Wołoszczvznę, ja w Buczaczu zacząłem zbierać szlachtę i kozaków. Już było wszystko gotowem do boju, — a żyd cyrulik sobacza wira, który miał przystęp do mnie, o każdym moim kroku donosił generałowi Zagrajskiemu, który stał komendą w Płoskirowie. Ja o niczem nie wiem,—aż tu nyszczekom

pryszły wrahi do Buczacza, mene uchopyły, potaszczyły do Kijowa i trzymały zapertaho, póki nie było uże po wsim. To za teye, jak wpade w moje ruki jaki żyd, ne pytaju sia zwydki, a woddaju za swoje. Jakiś żyd pokazał się w Kaniowie na Mikołę, i zaczął moich chłopów w kubki ogrywać. A czort wiedział że on z Morafy. Ja na niego Magdeburgię sprowadził i żyda powiesili; wielkie święto! a pan podczaszy do mnie z wymówkami. Ja sześć bryk kazałem naładować żydami śniatyńskimi i buczackimi, i te wszystkie bryki przewrócić na dziedzińcu morafskiego zamku. Za jednego żyda, wid daju bilsze sto, a odczepysia. A pan podczaszy jeszcze gorzej się rozgniewał, i taki wypalił do mnie list, że kołyb to ne buw Potocki, jak i ja, tob ja jemu... ale pokińmo o tym. Pane Łopuski! szczoby pan Soplica u nas wsiu maw wyhodu. Bo to radziwiłłowska czeladka. A teraz panie bracie, powiedz-no, w jakim interesie do mnie przyjechałeś? — Niech się nacieszę jeszcze J.W. panem; o interesie będzie pora mówić, jak się rozgoszczę, to o wszystkim objaśnię. Dziś Sobota, pan zwykleś dziś suszyć, i mnie sługę swojego na zbawienną drogę naprowadzisz; przy kielichu jutro gładziej pójdzie, a tylko panny o wodzie rozprawiają. — Prawdziwy Albeńczyk, i zuch, i mądry; kołyb ta Subota swytsze minuta, szczoby z Lytwakom pobawyty sia. W Nieświeżu tego piją; albo ja tam pół roku

nie siedział? Jak się też powodzi panu Leonowi Borowskiemu? — Zdrow panie! zawsze wesoły i w łaskach u JO. mojego pana. — Albo on tego nie wart? Se hołowa! jemu kanclerom buty! A jak pyje! Ja na neho z desiat raz porywawsia, ne można było rady daty, tak mene buwało położyt, szczo ny ruku ny nohu pidniaty ne mohu, a pan Leon tylko się śmieje i mówi: śpij, nieboże, śpij! i szuka świeżego, żeby z nim dopić. Co to mospanie! półgarnca wina duszkiem w żywot wleje, ani oddechne; kołyb on do Kaniowa pryjehaw, toby ja jewo jak korola pry-niaw. Mospanie Soplico! z najsla wnniejszymi próbowalem się; pijało się ze Świejkowskim, podstolim Wołyńskim, i z Janikowskim, co to ma przysłowie: *quinque dyablów*, i z Branickim, kiedy jeszcze był łowczym Koronnym, i z Łahodowskim, co kielichem całą Wielką Polską rządzi: wsio drań pry Borowskim! I książę wojewoda Wileński dobrze pije, ale daleko mu do niego; na całej Koronie i Litwie jeden tylko Konarzewski, co obok niego stanąć może. Oj se młody czołowik, ale krepki także, a prócz Konarzewskiego jak świat szeroki, nie ma równego Borowskiemu. To mospanie, kiedy pan Ignacy mnie na kiereszował, doktor nadworny księcia pana obwiązał mi głowę, krew puścił, i wymógł na mnie, zem się na N. Pannę zaklął, iż póki mnie nie pozwoi, wodę tylko pić będę, i nie wyjdę z kwatery. Tęskno mi było

w ciupie, modlił się człowiek, modlił, aż się przemodlił. Przyjaciele i sam książę pan z łaski swojej mnie nawiedzali, a ja im mówię: dla miłości Pana Boga, bawcie się u mnie. Choć mi pić nie wolno, niech przynajmniej się napatrzę, jak drudzy piją. — A książę pan zaraz posłał po Borowskiego, bo bez niego zabawa nie warta. A mnie przyszedł koncept do głowy. — Panowie! — odezwałem się — daktór każe mnie pić wody jak najwięcej; zafarбуйте mnie wodę, oszukamy pana Leona, będzie potem śmiech, że będąc słabym, przepiłem go. — Na to książę wojewoda: — Dobrze panie kochanku, ale czy daktór pozwoli waści tyle wody nażłopać? — Właśnie daktór był przy tem, daktór Morysson, który jak wiesz nie był od kielicha. — I owszem — odezwał się — niech pan starosta zdrów pije wodę, ile jej się wleje, a ja sam zajmę się jej zafarbowaniem. — Jak przyszedł pan Leon, wszystko było na pogotowiu i zabawa się zaczęła. Piwniczy wszystkim nalewa wina, a mnie wodę; gładko szło, już wszyscy byli podochoceni, tylko pan Leon zawsze świeży do kielicha. A ja piję wodę, a piję, ledwo trzcina w brzuchu nie wyrosła; nareszcie takem się odął, że ani sposobu wytrzymać. Patrzę na Morysona, i oczami modlę się do niego, by mi pozwolił aby jeden kielich wina wypróżnić, bo dalej pękne. Domyślił się daktór czego chcę, i wyszedłszy zrobił porządek, by mi prawdziweg owi-

na przynieśli; ale jak mi go nalano w kielich, a ja go do ust przybliżył, pan Leon mnie za rękę: — Nie uchodzi drwić z ludzi, panie starosto; czemś zaczął tem kończ. — Domyślił się jucha, — ja w prośby, spuścił mnie od dalszego picia wody, ale wina pić nie pozwolił ani kropelki. — Nie porywaj się z wodą na wino! śpij teraz, i swoją wodę wypoć, a jak doktor da ci indult, służę na gołe łby bez tych figlów studenc-
kich. — Wszystkim śmiech, a mnie wstyd — ale od-
tąd nigdy głowy przed panem Leonem nie nakry-
wał. — Po tej gadce, przybliżyli się do pana staro-
sty jego kapelani, których miał dwóch: Dominikana
i Bazyljana. Nawet szczególnie ruski obrządek mi-
łował, a ja, by się nie naprzykrzyć, poszedłem sobie
z panem Łopuskim, który mnie odprowadził do na-
znaczonej mi kwatery, i kobyłę kazał wziąć na obrok
pański, a wózek zostawiłem z chłopcem na gospodzie,
bo taki nie dowierzałem panu staroście, by nie była
jakaś napaść, jak się dowie, że pozwalam sobie wóz-
ka. Roztasowałem moje mizerye na kwaterze; ale
nie długo w niej siedziałem, bo dano mi znać, że pan
starosta każe sobie służyć na obiad. Na tym obie-
dzie, i wstawszy od stołu, ciągle był zajęty mną
chudym pacholkiem, — wszystko mię wypytywał
o znajomych mu Litwinach, i nie było mowy, tylko
o życiu nieświeżkiem. I było tego dobrego do wie-
czora, który się jednak bez burzy nie obszedł, bo wo-

żny trzy pozwy położywszy na ekonomii, a któremu już kilkakrotnie udało się ująć z Kaniowa bez szwanku, gdyż gęste pozwy sypały się na pana starostę, jakoś nie uwiął się, i wpadł w ręce kozaków, którzy mu relacye gotowe wytrzęśli. Biedny woźny sto nahajów dostał, a nie dwieście wedle obyczaju kaniowskiego, bo na jego szczęście to było w Sobotę, a na cześć N. Panny w dniu tym pan starosta zawsze pół kary odpuszczał. Można było uważać, że przy końcu dnia JW. gospodarzowi bardzo się ta Sobota przykrzyła, i że niecierpliwie wyglądał niedzieli, aby co prędzej popieścić się z kielichem. Zakończył nareszcie Sobotę, ale w taki sposób, że nawet zakonnicy jego otaczający mogli być wielce zbudowani. Bo i koronki odmówił, i godzinki Niepokalanego Poczęcia śpiewał, i to z całym dworem, a tak gorliwie, że sto różeg kazał dać jednemu ze swoich paziów za to, że ziewnął podczas jednej Antyfony. A jakeśmy się porozchodzili do wczasu, ledwom mógł zasnąć na kwaterze, bo aż do północy wszystkie dzwony kaniowskie kołysały się na cześć N. Panny *in gratiam* Soboty. W panu starości była wielka mieszanina pobożności i chimer. Naza jutrz, jako w Niedzielę, za przykładem pana, goście, dwór, czeladź i poddaństwo, jak się zebrali w kościele na jutrznią, to dopiero aż po sumie z niego wyszli: a wszystko się modliło gorąco. Dałby pan starosta

temu, coby w prawo i lewo okiem rzucał, bo chociaż sam modlił się z wielką skruchą, ciągle klęcząc, co chwil kilka patrzył, czy wszyscy obchodzą się przyzwoicie. Obaj kapelani kazali, jeden po polsku, drugi po rusku; jedli oni chleb pański, ale dlatego nie oszczędzali pana starosty. Pełno było w kazaniu dla niego nie wątróbek, jak to ludzie mówią, ale głogów i cierni. Jeszcze Dominikan jakoś zdaleka mu przypomawiał, ale Bazylian po prostu siepał, bez ogródki piorunował naprzeciw pijaństwu, popędliwości, nie-ludzkiemu obejściu się z podwładnymi, tak, że choć nazwiska nie wymieniał, właśnie jakby palcem go wytykał. Pan starosta, jakby nie o nim, tylko głową kiwa, oczy mrużąc, do *Sanctissimum* obrócony, i w piersi się bije kułakiem. Może komu z tego był śmiech, ale ja się budowałem, i wielkie powzięłem uszanowanie dla pana starosty za to, że tak poczciwie wierzył. A czemu, powie kto, nie tak dobrze czynił, jak dobrze wierzył. To źle bezwątpienia, ale gdyby taka wiara była, jak uczynki, to byłoby jeszcze gorzej; co złego, temu przyganiajmy; lecz czemu nie pochwalić, co jest dobrego? Po nabożeństwie była sesya ekonomiczna, na której sam starosta, jak zwykle, zasiadał, o wszystkim wiedział nic bez jego rozkazów się nie robiło. To był zawołany gospodarz, a nie tylko dyspozytorowie nagromadzili się, ale i Ciwunowie, których tam przysięż-

nymi zowią, a każdego wysłuchał i badał tem łatwiej że po ukraińsku mówił jak Diak. A kozacy z naha-
jem stali przed oknami kancelaryi, gotowi sypać pla-
gi na znak pański. Jakoż nie obeszło się bez kilku
egzekucyi. Strach się malował po twarzach wszy-
stkich oficyalistów. Jedna z pomiędzy wielu egze-
kucyi dnia tego, chociaż boląca, nieco mnie rozśmie-
szyła. Przed kilkoma tygodniami p. starosta był
przedal *certum quantum* pszenicy Philiponom kaniow-
skim. Otóż w jednym folwarku, dyspozytor zniósłszy
się z przysiężnym, kilkanaście korcy celnej pszeni-
cy w poślad wmięszal, i sobie zabrał w moc ordyna-
ryi, bo że w tym roku jarzyna chybiła w Kaniow-
czyźnie, poślad pszenny w miejscu owsa przyjmowali
ordynaryusze. Ale pan starosta, co wszystkiego za-
wsze doszperał przez swoich kozaków, po nitce do-
brał się do kłębka; rozgniewał się tedy okropnie
i krzyknął na kozaków, by położyli dyspozytora.
Ale ten zaczął się wymawiać swoim szlacheństwem,
że nie jest on z takich, co ich najwięcej na Ukrainie
i Wołyniu, co to tylko szlacheć alias, ale że on je-
szcze z dziada i pradziada ma zasługi w domu Po-
tockich. A trzeba wiedzieć, że pan starosta zawsze
miał wzgląd na szlacheństwo, o którego rzetelności
był przekonany. Zaraz się opamiętał.

— Otoś mnie zagadł! prawda, synu, prawda,
tyś szlacheć, twój ojciec był towarzyszem w mojej

chorągwi, byty ne budu, ale koły ty szlachtyc, na szczo kradesz? a taki nezabud budeš maty. — Kazał położyć dyspozytora, a na nim przysiężnego, i temu dwieście nahajów odliczono tak, że szlachcie służył chłopowi za ławę. A jak oba wstali, przysiężnemu powiedział: — Pamiętaj sobaczy synu, szczo by z ekonomom ne zmałaty sia na szkodu pańsku; szlachtyc sia wykpyt, a tobi bude bida. Teperki pokłonyšia ekonomowi i podiakuy jemu, szczo on pozwoływ tobi na nym leżaty. A waćpana, panie szlachcicu, proszę dziś do siebie z innymi na obiad. — Było tam jeszcze rozmaitych kawalków, ale Bóg świadek, że w tem wszystkim było silne wyobrażenie sprawiedliwości. Sesa ekonomiczna skończyła się przed samym obiadem. Wszyscyśmy doszli do stołu za panem starostą. Co było na sesyi, to było, ale po niej każdego uprzejmie zaprosił, tak, że kilkadziesiąt osób siedziało za stołem. Mnie niedaleko siebie posadził; piwniczny nam wino nalewał, a na szarym końcu stał miód w dzbankach na stole, ale tak obficie, że każdy mógł się opić jak bąk: jakoż uważałem, że nikt tam swojego gardła nie oszczędzał. A pan starosta po sztuce mięsa już rozpoczął zdrowia kolejnym kielichem. Pierwsze zdrowie było mojego pana, JO. księcia wojewody Wileńskiego, po którego spełnieniu, za danem hasłem wszystkie armaty kaniow-

skie huknęły, a inne zdrowia spełniano, ale bez wiatów. Wszystkich mu znanych Litwinów pił zdrowie, i kazał mi za powrotem moim ich uwiadomić, jak zachowuje ich pamięć, a szczególnie by księciu wojewodzie oświadczyć, że nigdy w nim nie przestanie mieć gorliwego i poświęconego sługi, który żadnej nie opuszcza okoliczności, aby uczyć tego wielkiego męża, któremu równego ani świat, ani korona Polska nie wydały. To był prawdziwie dzień świetny dla naszej Litwy; gdyby cała mogła być obecna tej uczcie, takby się rozrzewniła, jak ja, który w jej imieniu ze łzami dziękowałem, i odpijałem wdzięczność za to zachowanie, co jej syny uskarbili sobie na Ukrainie, a którą wynurzał jeden z najznakomitszych magnatów tej strony od nas oddalonej. Byłem przejęty uczuciami najgłębszej wdzięczności, po pierwsze za cześć kilkakrotnie wynurzoną JO. wojewodzie Wileńskiemu, panu i dobroczyńcy, którego smaczny chleb od tylu lat jadłem, a którego szczodrota i wówczas wstęp mi dała do zamku przemożnego pana, gdzie byłem przyjęty nie jak sługa równego jemu magnata, ale jak przyjaciel. Bo powinny nawet, lepiej niż ja nie mógłby być ugoszczonym. Powtóre za tę zaszczytną pamięć, co ją serce pana starosty kaniowskiego zachowało o tylu Litwinach zacnych, po większej części z mojego województwa, a z który-

mi wychowałem się i kolegowalem: a nawet wprost za siebie samego kilkakrotnie musiałem dziękować. Bo nie tylko, że jedna kolej obeszła za szczęśliwe powodzenie szlachty wielkiego księstwa Litewskiego, do którego grona mam zaszczyt należeć, i to wyznaję bez obawy by mię o chępliwość posądzono; ale pan starosta pił zdrowie bandy albeńskiej, co mnie jeszcze bliżej dotykało, bo jakom wspominał, świeżo byłem przypuszczony do tego towarzystwa, którego barwę ciągle w Kaniowie na sobie miałem. A nakoniec pan starosta, niech go za to Pan Bóg stokrotnie i na tamtym świecie błogosławi, mnie chudego pachółka zdrowie stojąc spełnił, jak wszystkich innych. Bogiem i ludźmi się świadczę, że tak było, a nie inaczej, a ja klęcząc spełniłem kielich dziękczynny, i nie taję się, że mu kolana ucałowałem. Już dawno było po obiedzie, a my pijem a pijem, a pan starosta tak wylany, nie tylko dla mnie, którego się usadził okryć szczególnymi względami, ale i dla oficyalistów swoich, tych nawet, co ich ofukiwał na sesyi. A jaki miły w opowiadaniu! ciągle coś wesołego miał do mówienia. — Mospanie Soplico — mówił mi — ogadano mnie przed światem, że tyran na szlachtę; broń mnie waćpan przed ludźmi! Wszak ja sam szlachcic, a podły ptak, co swoje gniazdo paskudzi

Pamiętki starego szlachcica. III. „Gazeta Polska“ 29

Byłeś świadkiem, że choć tak uniosłem się na ekonomia, skoro tylko się złożył szlachectwem, dałem mu pokój, i choć okradł mnie, na sucho go puściłem. Prawdziwemu szlachcicowi nigdy w skórę nie dałem, chyba nie wiedziałem o jego zaszczycie; natenczas *ignorans peccavi*, a że mnie dekretami osypiano, nie dziw, bo tutejsi sędziowie takiego samego szlachectwa, jak ci, którym rozpruwszy musiałem ją moją kieszenią nadłatać. Kruk krukowi oka nie wykole. Ot tepir, jak ekonomska detyna nad nami panuje, kto w Boha wiryt i ne wiryt, to szlachtyc. Kiedyś to szlachectwo nasze było zaszczytem nad zaszczytami, a nyne tak go Poniatowski zasmerdyw, szczo sorom do szlachectwa przyznawaty sia; Bih mene osudyt, a lude nechaj brechajut. Waćpan sobie nie wyobrazisz, co to się dzieje w naszej Ukrainie. Mam sąsiada Wołyneckoho, dorobił się dziedzictwa, ale ladaszczo; jak zaczął mnie dokuczać, cierpliwości mnie nie stało. To karczmy stawił mnie na podryw, to w grunta kaniowskie się worywał, to zające szcuł na mojem polu. Ja jemu raz kazu: — Oj mosanie Wołynecki, odczepy sia, bo dohrajesz sia. Nakonec na mojej zemli ja jeho uchopył, i piatsot tam kazał mu nasypaty hde potrybno, a win jak sia wylizaw, na mene z pozwom do Grodu. Ja tłómaczę się, że on Popowicz, i stawię ludzi, szczo jeho batka znały;

ale i sudia i pidsudki takowoże rodu, szczo i win, i szlachectwo proti w Bohu mu przyznały, i wieżę kazali mi wysiedzieć, że musiałem pięćdziesiąt tysięcy zapłacić, a tak moju krywdu podiliły sia. Zgubić mnie chcieli. Ja tu szlachtę robię, jakby jaki hetman; komu dam w skórę, ten zaraz i szlachcicem się robi, a potem za moje pieniądze zostaje osiadłym. Od Kaniowa aż po Skwyru kto didycz, to szlachtycz mojej roboty. Jeszcze za to na mnie psy wieszają, taka to tutaj wdzięczność, że na ludzi kierują. Meni ne hroszy żal, ale kraju; my szlachtą stali, a jak szlachectwo się spaskudziło, obaczysz, że i kraj upadnie. Szczoż robyty? jaki pan taki kram! Co tylko złego, to od Poniatowskiego wyszło; pojedź-no do Warszawy a obacz, kim się otoczył. Aż ksiądz Naruszewicz, który choć wiersze pisze, przecie dobry szlachcic, a nawet waszego księcia koligat, to on, lubo zauszniak króla, nie może wytrzymać i mawia, czy król myśli papiernie zakładać, że tak zbiera gałgany? Warszawa gorsza niż Sodoma: same farmazony i lustry. Boha nie bojutsia, a takie teper senatory i dygnitary, szczoby kołyś ny ktob ich na ekonomów ne wziaw. Pan Potocki, chorąży Koronny, didycz Humańczyzny kołyś meni każe: — Bracie Kaniowski, już waszeć dawno starostą; pojedź do Warszawy, żeby nowe krzesło do domu Potockich

przybyło. — A ja mu na to: — Uwa! a szczoto ja soroci z pod chwosta wyliz, szczoby mene Poniatowski meźdu senatory posadyw? Chwałyty Bohu, z jeho łaski nyczoho ne maju i ne budu maty. Buczacz i Śniatyń, to mojeho Batka pracia, a starostwo Kaniowskie dał mnie nieboszczyk Sas, szczo ałe buw korolom. Bude z mene, żynki i deti ne ma i nebudet, do śmierci wystarczy, a krewni choć nic nie znajda, z siebie bogaci; na co tłusty poleć smarować!

I tak piliśmy i gawędziliśmy cały tydzień, jako z tem się oświadczył na wstępie pan starosta — a przyznam się, że choć zabawa miła, i umiałem cenić poufałość magnata, rad byłem, że tydzień się kończy, bo zdrowia dalejby nie stało, co nocy iść do wczasu bez przytomności, a nazajutrz toż samo powtarzać. Dopiero w Piątek odważyłem się mówić o moim interesie, bo już w dniu tym był koniec zabawom, gdyż w sobotę pijatyki nie było, a w niedzielę zaraz po mszy świętej miałem opuścić Kaniow. Pan starosta nie tylko, że się nie zasepił, ale z uprzejmem obliczem przyznawszy mi wszelką słusność, powiedział: — Jeszcze dziś się pobawim, a jutro skończym interes. I w samej rzeczy; nazajutrz, że nie było pieniędzy w kasie, dał mi prosty skrypt, którym do kapitalnej sumy dołączył najskrupulatniej wszystkie zaległe procenta,

z których, gdy część odstąpiłem panu Łopuskiemu, ten gotówką spłacił mnie sumę. A tak z kabzą napełnioną wróciłem do żonki, wedle słów JO. mojego pana, do którego pan starosta własną ręką przezemnie napisał list niekrótki, choć pisać nie lubił; jeszcze na niezabud darował mnie smycz chartów personatów, co każdy z nich pojedynczo wilka chwycił. Te charty były głośne na całej Litwie, a ich gniazdo, lub u mnie się zwiódło, dotąd jednak w psiarni radziwilimontskiej się zachowuje.

Nikt nie jest bez ale, i pan starosta Kaniowski za życia nie był świętym. — Ale, że miał dobre serce, że był gorliwym katolikiem, że było w nim wiele wspaniałomyślności, jest to prawda, o której wątpić nie mogłem. Wprawdzie wiele złego o nim słyszałem, ale wiele dobrego sam widziałem i doświadczyłem. Bynajmniej nie zadziwiło mnie, jakem się dowiedział, że w lat kilka potem skończył życie w Poczajowie, w wielkiej świętobliwości, i że prostaczkowie pobożnie nawiedzają jego zwłoki.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Pan Ogiński	5
II. Pan Dzierżanowski	19
III. Pan Bielecki	26
IV. Rejtan	34
V. Ksiądz Marek	43
VI. Kazanie księdza Marka	55
VII. Pan Rewieński	64
VIII. Książę Radziwiłł Panie Kochanku	87
IX. 1. i 2. Trybunał Lubelski	110
3. Pan Wołk, pisarz Siczowy	138
X. Karol Ryś	164
XI. Ożenie	200
XII. Wołodkowicz	214
XIII. Sawa	231
XIV. Pan Leszczyc	254

XV.	Pan Borowski	265
XVI.	Palestra staropolska	290
XVII.	Klasztor Surlański	306
XVIII.	Pawlik	315
XIX.	Król Stanisław	343
XX.	Stanisław Rzewuski	381
XXI.	Błogosławiona Anna z Omiecińskich .	403
XXII.	Zdanie szlachcica o Wolterze . . .	412
XXIII.	Zamek Kaniowski	418





t. 3

9336/1